ARCYDZIEŁA KLASYKI LITERATURY

Antoni Czechow

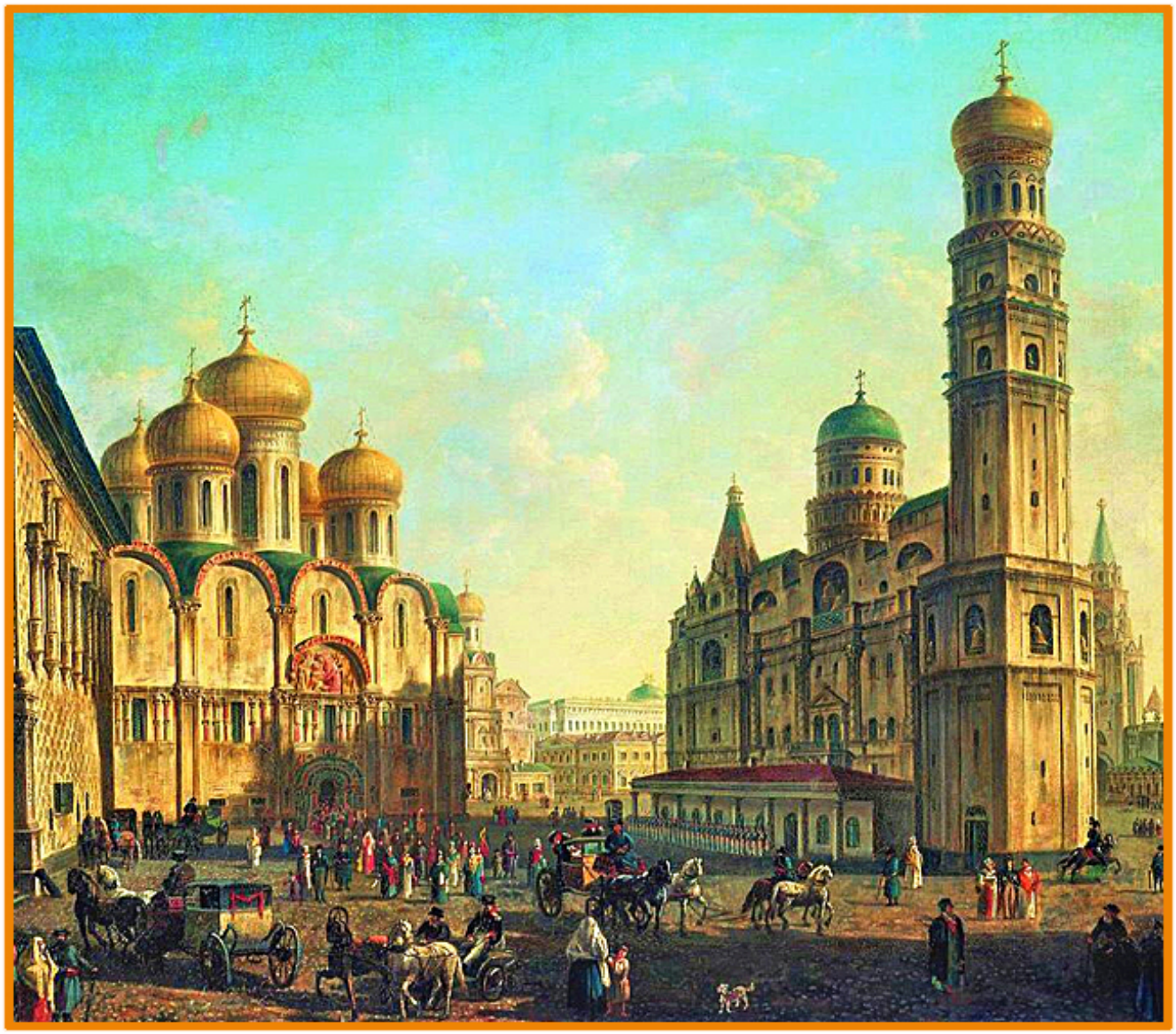

Śmierć urzędnika
i inne opowiadania

publio

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

ARCYDZIEŁA KLASYKI LITERATURY

Antoni Czechow

Śmierć urzędnika i inne opowiadania

Tłumaczenie A. W.

Warszawa 2012

Spis treści

Śmierć urzędnika
Bezbronna istota
Przesolił
Po ciemku
Córa Albionu
Potwarz
Szczęśliwy
Dyrektor pod kanapą. Zakulisowa historia
Damy
Wańka
Malcy
W razurze
Dramat
Wykrzyknik
Nie udało się
Długi język
Złoczyńca
Zemsta
Order
Podrzutek
Dzieło sztuki
Szydło w worku

W biurze pocztowym
W złym humorze
Zagadkowa natura
Kameleon
Żarcik
Syrena
Aptekarzowa
Metryczka książki

Śmierć urzędnika

Pewnego pięknego wieczora, niemniej piękny intendent Iwan Dmitriewicz Czerwiakow siedział w drugim rzędzie krzeseł i patrzył przez lornetkę na scenę, gdzie grano „Dzwony Kornewilskie". Patrzył i czuł się u szczytu błogości. Lecz nagle... – w opowiadaniach często spotyka się to „nagle" – autorowie mają słuszność: życie tak pełne jest niespodzianek! Nagle więc... zmarszczył twarz, przewrócił oczyma, wstrzymał oddech... apczchii! Kichnął, jak widzicie. Nikomu i nigdzie nie wzbrania się kichać. Kichają chłopi i policmajstry, a czasami nawet i tajni radcy. Wszyscy kichają, Czerwiakow wcale się nie zmieszał, wytarł nos chustką i jako człowiek grzeczny, obejrzał się naokoło, czy nie przeszkodził komu swoim kichnięciem. I teraz dopiero odczuł pewne zmieszanie. Zobaczył mianowicie, że staruszek, który siedział przed nim w pierwszym rzędzie krzeseł, wycierał sobie starannie rękawiczką łysinę i szyję, mrucząc coś pod nosem. W staruszku poznał Czerwiakow cywilnego generała z wydziału komunikacji, Bryzżałowa.

...Ucharkałem go... – pomyślał Czerwiakow. – Nie jest to wprawdzie mój szef, mimo to jednak jakoś mi niemiło. Trzeba go przeprosić.

– Przepraszam, ocharkałem pana... – ale to nieumyślnie.

– To nic.

– Wybacz pan, na Boga! Ja przecież... ja nie chciałem...

– Ależ siedź pan, z łaski swojej. Nie przeszkadzaj pan słuchać!

Czerwiakow zmieszał się, uśmiechnął się głupio i zaczął patrzeć na scenę... Patrzył, ale stan błogości minął. Dręczył go niepokój.

Podczas antraktu zbliżył się do Bryzżałowa, pokręcił się koło niego i, przezwyciężywszy lęk, mruknął:

– Ja pana ocharkałem... Wybacz pan... nie dlatego, żeby...

– Ależ niechże pan da spokój... Ja już zapomniałem, a pan wciąż to samo! – powiedział generał i niecierpliwie poruszył wargami.

...Zapomniał... z oczu jakoś mu źle patrzy... – pomyślał Czerwiakow, podejrzliwie przyglądając się generałowi. – Nawet rozmawiać nie chce. Trzeba mu wytłumaczyć, że wcale nie chciałem... że to prawo natury, bo gotów pomyśleć, że chciałem na niego plunąć. Jeżeli teraz nie pomyśli, to potem!...

Powróciwszy do domu, Czerwiakow opowiedział żonie o tym, co się przytrafiło. Żona, jak mu się zdawało, przyjęła to dość lekkomyślnie; zlękła się wprawdzie początkowo, ale gdy się dowiedziała, że to obcy, uspokoiła się.

– A jednak idź do niego i przeproś – powiedziała. – Pomyśli, że nie umiesz się zachowywać w towarzystwie.

– O to właśnie chodzi! Przeprosiłem go, ale on jakoś tak dziwnie... Ani jednego słowa nie powiedział na uspokojenie. Zresztą i czasu nie było na rozmowę.

Nazajutrz Czerwiakow włożył nowy mundur urzędowy, ostrzygł się i poszedł do Bryzżałowa.

Kiedy wszedł do poczekalni, ujrzał wielu interesantów, a wśród nich i samego generała, który już rozpoczął przyjmowanie podań. Załatwiwszy kilku interesantów, generał skierował wzrok na Czerwiakowa.

– Wczoraj, w „Arkadii", jeżeli sobie Wasza Ekscelencja przypomina – zaczął meldować intendent – kichnąłem i... niechcący, ocharkałem... Przepr...

– Co za głupstwa!... Bóg wie co! Czego sobie pan życzy? – zwrócił się generał do następnego interesanta.

...Nie chce rozmawiać! – pomyślał Czerwiakow, blednąc. – Gniewa się, widocznie... Nie, tego nie można tak zostawić... Ja mu wytłumaczę.

Gdy generał załatwił ostatniego interesanta i skierował się do wewnętrznych apartamentów, Czerwiakow poszedł za nim i zabełkotał:

– Wasza Ekscelencjo! Jeżeli ośmielam się niepokoić Waszą Ekscelencję, to tylko, mogę powiedzieć, przez uczucie skruchy. Niechcący, sam pan wie!...

Generał zrobił taką minę, jakby mu się na płacz zbierało, i machnął ręką.

– Ale pan sobie po prostu ze mnie drwi – powiedział, znikając we drzwiach.

...Cóż to za drwiny? – pomyślał Czerwiakow. – Wcale nie drwiny. Generał, a nie może zrozumieć! Jeśli tak, to nie będę się więcej tłumaczył przed tym fanfaronem. Pal go sześć! Napiszę do niego list, a chodzić nie będę. Jak Boga kocham, nie będę!

Tak rozmyślał Czerwiakow, wracając do domu. Listu do generała nie napisał. Myślał, myślał – i w żaden sposób nie mógł wymyślić listu. Trzeba było następnego dnia samemu iść i wytłumaczyć.

– Przychodziłem wczoraj niepokoić Waszą Ekscelencję – zaczął mamrotać, kiedy generał skierował na niego pytający wzrok – nie po to, żeby drwić, jak pan był łaskaw się wyrazić. Przepraszałem za to, żem ocharkał, a drwić nie miałem zamiaru. Czyżbym nawet śmiał żarty stroić?... Bo jeżeli my sobie będziemy na żarty pozwalali, to żadnego szacunku dla osób nie będzie.

– Precz stąd! – ryknął generał i cały się zatrząsł i posiniał.

– Co-o? – spytał szeptem Czerwiakow, omdlewając z przerażenia.

– Precz stąd! – ryknął generał, tupiąc nogami.

W brzuchu Czerwiakowa coś się oberwało. Nic nie widząc i nie słysząc, cofnął się ku drzwiom i wyszedł... Powlókł się machinalne do domu i nie zdejmując munduru, położył się na kanapie i... umarł.

Bezbronna istota

Nie bacząc na silny atak podagry w nocy i wynikające stąd zdenerwowanie, Kistunow rano udał się do biura i najgorliwiej zaczął przyjmować interesantów banku. Wyraz twarzy miał ponury i zmęczony, ledwo był zdolny mówić, ledwo oddychał – jakby niebawem miał spocząć w grobie.

– Czym mogę służyć? – zwrócił się do kobiety w przedpotopowej salopie, której forma z tyłu przypominała niby chrabąszcza.

– Proszę Waszej Ekscelencji – zaczęła prędko trajkotać nieznajoma – mój mąż, asesor kolegialny Szczukin, chorował pięć miesięcy i gdy, z przeproszeniem pańskim, leżał w domu i leczył się, bez żadnej przyczyny dano mu dymisję, a kiedy przyszłam po pensję, to proszę Waszej Ekscelencji, wytrącili mu z pensji dwadzieścia cztery ruble trzydzieści sześć kopiejek. – „Za co?" – pytam. – „A bo on brał pieniądze z kasy wzajemnej pomocy i koledzy za niego poręczyli". – Co takiego?... Czy on miał prawo brać bez mego pozwolenia?... To niemożliwe, proszę pana. Cóż to znaczy?... Jestem biedna kobieta i żyję z lokatorów... Jestem słaba, bezbronna istota... Wszyscy mnie krzywdzą i nikt mi dobrego słowa nie powie.

Petentka zaczęła mrugać oczyma i szukać chustki w salopie. Kistunow wziął od niej podanie i uważnie je przeczytał.

– Co to jest takiego, proszę pani? – wzruszył ramionami – nic nie rozumiem! Widocznie łaskawa pani mylnie trafiła. Prośba pani zupełnie nas nie dotyczy. Niech się pani zwróci do instytucji, w której mąż jej pracował.

– Ach, drogi panie, byłam już w pięciu miejscach i nigdzie nawet nie chciano przyjąć podania – odpowiedziała Szczukina. – Już głowę straciłam, nie wiedząc, co czynić, ale zięć mój, niech mu Bóg da zdrowie, poradził mi udać się do pana: – „Niech się mamusia zwróci do pana Kistunowa – to jest człowiek wpływowy, może dla mamusi wszystko zrobić". – Niechże mi Wasza Ekscelencja pomoże!

– Nic nie możemy dla pani zrobić. Zechciej pani zrozumieć: mąż pani, o ile miarkuję, pracował w wydziale wojskowo-lekarskim, a nasza instytucja jest zupełnie prywatna, handlowa, to jest bank. Czy pani tego nie rozumie?

Kistunow jeszcze raz wzruszył ramionami i zwrócił się do następnego interesanta ze spuchniętym policzkiem, w wojskowym uniformie.

– Wasza Ekscelencjo – poczęła na nowo Szczukina żałosnym głosem swoje wywody. – Mąż mój był istotnie chory i mam na to świadectwo lekarskie. Oto jest, niech pan spojrzy.

– Doskonale, wierzę pani – mocniej rozdrażniony, odparł Kistunow – ale powtarzam, to nas nie dotyczy. Dziwna i nawet śmieszna historia! Czy mąż pani nie wie, dokąd się trzeba zwracać?

– On, Wasza Ekscelencjo, nic nie wie i tylko powtarza ciągle w kółko: – „Nie twoja sprawa, wynoś się!..." – A czyjaż to sprawa?!... Przecież na moim karku siedzi! Na moim!

Kistunow znowu zwrócił się do Szczukinej i począł jej tłumaczyć, jaka jest różnica między wydziałem wojskowo-lekarskim a prywatnym bankiem. Słuchała uważnie, potakiwała głową, w końcu zaś rzekła:

– Tak, tak, tak... rozumiem, proszę pana. W takim razie niech Ekscelencja każe mi wydać chociażby piętnaście rubli. Gotowa jestem wziąć nie wszystko od razu...

– Uf... – odetchnął ciężko Kistunow, odrzuciwszy głowę w tył. – Nie można pani wbić w głowę tego, co mówię! Niechże pani zrozumie nareszcie, że zwracać się do nas z taką prośbą, jest to to samo, co na przykład, składać podanie o rozwód w aptece albo w mennicy. Pani nie dopłacili, tak, to prawda, ale nas to obchodzi?

– Wasza Ekscelencjo, przez całe życie będę się za pana modliła, zlituj się pan nad biedną sierotą! – zaczęła płakać Szczucina. – Jestem kobieta bezsilna i bezbronna... Ledwo żyję... Z lokatorami po sądach się włócz, za męża się staraj i wedle gospodarstwa biegaj, a tu jeszcze do spowiedzi się szykuję i zięć bez posady... Tylko się zdaje, że jem i piję, a ledwo na nogach się trzymam... Całą noc nie spałam...

Kistunow poczuł, jak mu serce bije. Zrobił minę męczennika, przyłożył rękę do serca i począł znowu jeszcze raz to samo tłumaczyć Szczukinej, ale głos mu się zerwał...

– Nie, przepraszam, nie mam sił z panią mówić – powiedział i machnął ręką. – Aż mi się w głowie kręci. Pani i nam przeszkadza, i sama czas traci. Uff, Aleksy Mikołajewiczu – zwrócił się do jednego z urzędników – niech pan, z łaski swojej, postara się tę sprawę wytłumaczyć pani Szczukinej.

Kistunow pozałatwiał wszystkich interesantów, wrócił do swego gabinetu, podpisał z dziesięć dokumentów, a Aleksy Mikołajewicz wciąż jeszcze zajęty był Szczukiną. Siedząc u siebie w gabinecie, Kistunow długo słyszał dwa głosy: monotonny, powściągliwy bas Aleksego Mikołajewicza i płaczliwy, skwierczący głos Szczukinej.

– Jestem kobieta chora – mówiła Szczukina – może na pozór jestem krzepka, ale jeżeli się przyjrzeć, to we mnie ani jednej żyłki zdrowej nie ma. Ledwo na nogach stoję i apetyt straciłam... wprawdzie, piłam dziś kawę, ale zupełnie nie czułam jej smaku.

A Aleksy Mikołajewicz tłumaczył jej różnice między wydziałami i skomplikowany system składania podań. Wkrótce jednak się zmęczył i prosił o zastępstwo buchaltera.

– Wyjątkowo nieznośne babsko – oburzał się Kistunow, łamiąc sobie palce i co chwila podchodząc do karafki z wodą. – Jakaś idiotka, podeszwa! Mnie prawie zamęczyła i ich zgnębi – wstrętna! Uf! jak mi serce bije.

W pół godziny potem zadzwonił. Przyszedł Aleksy Mikołajewicz.

– No, cóż tam z tą babą?

– W żaden sposób nie możemy jej się pozbyć! Jesteśmy już wprost z sił wyczerpani. My swoje, ona swoje.

– Ja... ja nie mogę znieść jej głosu... Chory jestem... nie wytrzymam...

– Zawołam szwajcara – powiedział Aleksy Mikołajewicz – niech ją wyrzuci.

– Ależ nie, nie! – zląkł się Kistunow. – Zacznie wrzeszczeć, a w tym domu mieszka wielu lokatorów i diabli wiedzą, co o nas pomyślą... Postarajcie się, moi drodzy, jakoś jej wytłumaczyć, że jej sprawa nas nie dotyczy.

Po chwili znowu zadźwięczał głos Aleksego Mikołajewicza. Po kwadransie zaś jego bas ustąpił donośnemu tenorowemu głosowi buchaltera.

– Wy-ją-kowo nieznośna baba! – oburzał się Kistunow, nerwowo wzruszając ramionami. – Głupia, jak gęś, pal ją diabli! Zdaje się, że znowu wraca moja podagra... Znowu migrena...

W sąsiednim pokoju Aleksy Mikołajewicz, wreszcie zupełnie wyczerpany, uderzył palcem w stół, a potem zaś dotknął się czoła:

– Słowem, pani ma na plecach nie głowę, a ot co...

– No, proszę, proszę – obraziła się stara – swojej żonie stukaj!... Ananas!... Ręce przy sobie trzymaj!

Patrząc na nią z nienawiścią i wściekłością, jakby ją chciał połknąć, Aleksy Mikołajewicz wyrzekł cichym, przytłumionym głosem:

– Wynoś się stąd!

– Co-o?! – zawyła nagle Szczukiną. – Jak pan śmie?! Jestem słaba, bezbronna kobieta. Jak pójdę do adwokata, to po tobie śladu nie zostanie. Trzech lokatorów wpakowałam do kozy, a za twoje zuchwałe słowa będziesz się jeszcze u nóg moich tarzał. Ja do waszego generała pójdę. Wasza Ekscelencjo! Wasza Ekscelencjo!...

– Wynoś się stąd, cholero jedna! – zaryczał Aleksiej Mikołajewicz.

Kistunow otworzył drzwi i wyjrzał do kancelarii.

– Co się stało? – spytał płaczliwym głosem.

Szczukina, czerwona jak rak, stała pośrodku pokoju i przewracając oczami, uderzała palcem w powietrze przed siebie. Opodal urzędnicy banku, również czerwoni ze zmęczenia, zmordowani, spoglądali na siebie wzajemnie.

– Wasza Ekscelencjo – rzuciła się ku Kistunowowi Szczukina. – Oto ten, ten tutaj! – wskazała na Aleksego Mikołajewicza – postukał palcem po stole, a potem po czole... Pan mu kazał sprawę rozpatrzyć, a on się naigrawa! Jestem słaba, bezbronna kobieta. Mój mąż jest asesorem kolegialnym, a ja sama jestem majorówna!

– Dobrze, proszę pani – zajęczał Kistunow – ja rozpatrzę... postaram się... Niech pani przyjdzie... później.

– A kiedy dostanę, Wasza Ekscelencjo? Mnie pieniądze dziś są potrzebne.

Kistunow drżącą ręką potarł czoło, westchnął i znów jął tłumaczyć rzecz całą od początku.

– Łaskawa pani, ja już powiedziałem. Tu jest bank, instytucja prywatna, handlowa. Czego pani od nas chce? I niech pani nareszcie

zrozumie, że pani nam przeszkadza.

Szczukina wysłuchała i westchnęła.

– Tak, tak – potakiwała. – Ale niech pan będzie łaskaw, całe życie będę się za pana modliła, Ekscelencjo, proszę być dla mnie wyrozumiałym, jak ojciec rodzony. Jeżeli świadectwa lekarskie nie wystarczą, to mogę przedstawić świadectwa z cyrkułu. Niech pan każe wydać mi pieniądze.

Kistunowowi zamroczyło się w oczach. Wydął powietrze, jakie tylko miał w płucach, i bez sił upadł na krzesło.

– Ile pani chce? – zapytał słabym głosem.

– Dwadzieścia cztery ruble trzydzieści sześć kopiejek.

Kistunow wyjął z kieszeni pugilares, odliczył dwadzieścia pięć rubli i podał Szczukinej.

– Bierz... i odchodź!...

Szczukina zawinęła w chustkę pieniądze, schowała je i ze słodkim, delikatnym, nawet zalotnym uśmiechem spytała:

– Wasza Ekscelencjo, a czy nie mógłby mój mąż znowu wrócić na posadę?

– Odjeżdżam... jestem chory... – powiedział Kistunow mdlejącym głosem. – Mam straszne bicie serca...

A gdy rzeczywiście wyszedł do domu, Aleksy Mikołajewicz posłał woźnego po krople laurowe i wszyscy urzędnicy, zażywszy po dwadzieścia kropel, dopiero zasiedli do dalszej pracy; Szczukina zaś siedziała jeszcze około dwóch godzin w przedpokoju i rozmawiała z odźwiernym, oczekując powrotu Kistunowa.

Przyszła i następnego dnia.

Przesolił

Geometra Smirnow przyjechał na stację Gniłówki. Do majątku, w którym miał wykonać roboty miernicze, trzeba było jechać końmi jeszcze około trzydziestu-czterdziestu wiorst; o ile woźnica trzeźwy, a konie nie chabety – to i trzydziestu wiorst nie ma, lecz jeżeli woźnica pijany, a konie mizeraki – to się i pięćdziesiąt uzbiera.

– Przepraszam pana, gdzie tu można dostać koni pocztowych? – zwrócił się geometra do żandarma stacyjnego.

– Jakich? Pocztowych? Tu w promieniu stu wiorst przyzwoitego psa pan nie znajdzie... a co dopiero koni przyzwoitych... A dokąd pan jedzie?

– Do Dziewkina, majątku generała Chochołowa.

– Co robić? – ziewnął żandarm – niech pan idzie za stację, tam czasem bywają chłopi, co wożą pasażerów.

Geometra westchnął i powlókł się za stację. Po długich poszukiwaniach, rozmowach i wahaniach znalazł kolosalnego chłopa, ponurego, dziobatego, w podartej siermiędze i łapciach.

– Diabli wiedzą, co za fura – żachnął się geometra, włażąc na wóz. – Nie zmiarkujesz, gdzie przód, a gdzie tył...

– Co tu miarkować? gdzie koński ogon – tam przód, a gdzie wielmożny pan siedzi – tam tył.

Koń był młody, ale wychudły, nogi miał rozkraczone i uszy pogryzione. Kiedy woźnica wstał i zdzielił go sznurowym batem, koń wstrząsnął tylko głową i dopiero gdy woźnica zaklął i uderzył po raz drugi, fura zgrzytnęła i zatrzęsła się, jak w febrze. Po trzecim

uderzeniu fura zakołysała się, a po czwartym – nareszcie ruszyła z miejsca.

– Czy to całą drogę tak będziemy jechać? – spytał geometra, wstrząsany mocno, podziwiając równocześnie zdolność rosyjskich woźniców, która potrafi łączyć żółwią jazdę z trzęsieniem, wywracającym wnętrzności.

– Dojedziemy – uspokoił go woźnica – kobyłka młoda i rącza... Niech się tylko rozpędzi, to jej się potem nie zatrzyma. Wio-o, przeklęta!

Gdy fura wyjeżdżała ze stacji, panował już mrok. Na prawo od geometry ciągnęła się ciemna, zamarznięta, zda się, bezgraniczna równina. Gdyby się na nią skierować, to licho wie dokąd doprowadzi.

Na widnokręgu, tam, gdzie kończyła się owa równina i zlewała z niebem, dogorywała leniwie chłodna zorza jesienna. Na lewo od drogi, w mrocznym powietrzu widać było jakieś ciemne wyniosłości – może to zeszłoroczne stogi, a może i wioska. I geometra nie widział tylko tego, co było na wprost, gdyż całe jego pole widzenia z przodu zasłaniały szerokie, niezgrabne bary woźnicy.

...Jakie tu jednak pustkowie – myślał Smirnow, starając się zasłonić sobie uszy kołnierzem od płaszcza. – Ani żywej duszy. Gdyby, nie daj Boże, bandyci napadli i obrabowali – nikt nie usłyszy, chociażbyś z armat walił... I woźnica też niepewny... Patrzcie, co za bary! Takie dziecko natury tylko palcem cię ruszy – kaput! I pysk ma zwierzęcy... podejrzany...

– Słuchaj, przyjacielu, jak się nazywasz?

– Ja? Klim.

– Jak tu u was jest, Klimie? Bezpiecznie? Nie napadają?

– Nie, dziękować Bogu... Kto ma napadać?

– To dobrze, że nie napadają. Ale na wszelki wypadek wziąłem ze sobą trzy rewolwery – zełgał geometra. – A z rewolwerami, wiesz, żartów nie ma! Można sobie poradzić i z dziesięcioma bandytami...

Ściemniło się. Fura nagle zaskrzypiała, zapiszczała, zatrzęsła się i jakby od niechcenia, zawróciła na lewo.

...Dokąd on mnie wiezie? – pomyślał geometra. – Jechał wciąż prosto i nagle skręcił w lewo. Jeszcze zawiezie mnie do jakiego zapadłego kąta i... Zdarzają się takie wypadki...

– Posłuchaj – zwrócił się do woźnicy. – Więc mówisz, że tu bezpiecznie? Szkoda, ja lubię bić się z bandytami. Wyglądam wprawdzie chudo, na słabowitego, a siły mam jak byk... Raz napadło na mnie trzech zbójców... I wiesz co? Jednego z nich tak zdzieliłem, że ducha wyzionął, a dwaj pozostali poszli przeze mnie na Sybir, do katorgi. I nawet sam nie wiem, skąd się we mnie bierze taka siła! Takiego dryblasa, jak ty – jedną ręką powalę i skręcę!

Klim obejrzał się na geometrę, twarz mu jakoś zadrgała i uderzył konia.

– Tak, bracie – ciągnął dalej geometra. – Broń Boże zaczynać ze mną. Nie dość, że bandyta zostanie bez rąk i nóg, ale jeszcze odpowie przed sądem... Znam wszystkich sędziów i komisarzy... Jestem osoba urzędowa, potrzebna... Jadę, a władza już wie i tylko patrzy, by mi kto krzywdy nie wyrządził... Wszędzie po drodze są porozstawiani za krzakami strażnicy i sołtysi... Po... po... czekaj! – wrzasnął nagle geometra. – Gdzieżeś ty wjechał?... Dokąd mnie wieziesz?...

– Czy pan nie widzi? Las!...

...Rzeczywiście las... – pomyślał geometra. – Ach! Jakiem się przestraszył! Nie trzeba jednak zdradzać swego niepokoju... On już spostrzegł, że się boję. Dlaczego zaczął się tak często oglądać

na mnie? Widocznie coś knuje... Przedtem jechał ledwo, ledwo, krok za krokiem, a teraz, patrzcie, jak pędzi.

– Posłuchaj, Klimie, czemu tak popędzasz konia?

– Ja go nie popędzam, sam się rozpędził. A jak się rozpędzi, to go już żadną siłą nie można zatrzymać. I sam niezadowolony, że ma takie nogi.

– Łżesz, bracie! Widzę, że łżesz. Tylko ja ci nie radzę tak prędko jechać. Powstrzymaj konia... Słyszysz? Powstrzymaj!

– A dlaczego?

– A bo za mną ze stacji ma wyjechać czterech towarzyszy. Trzeba, żeby nas dopędzili. Obiecali dopędzić mnie w tym lesie... Z nimi raźniej będzie jechać. Chłopcy zdrowe, krępe... każdy ma pistolet za pasem... Co ty się wciąż oglądasz, kręcisz, jak na szpilkach? Co? Ja, bracie, tego... nie ma czego oglądać się na mnie – nic we mnie nie ma ciekawego... Chyba, że rewolwery. Jeżeli chcesz, to je wyjmę i pokażę... Proszę...

Geometra udał, że szuka po kieszeniach, ale wtedy stało się coś takiego, czego się przy całym swym tchórzostwie nie spodziewał. Klim wypadł nagle z bryczki i na czworakach uciekł w gęstwinę.

– Ratunku! – wrzeszczał – ratunku! Bierz, przeklęty, konia i furę, tylko nie gub mojej duszy! Ratunku!

Dały się słyszeć prędkie, oddalające się kroki, trzask chrustu, po czym wszystko umilkło. Geometra, który nie spodziewał się takiego obrotu rzeczy, przede wszystkim zatrzymał konia, potem rozsiadł się wygodnie w furze i zaczął rozpamiętywać.

...Uciekł... przestraszył się, osioł... Ale co teraz robić? Tam jechać nie mogę, bo nie znam drogi i mogą pomyśleć, żem mu ukradł konia... Co robić? Klimie, Klimie!

– Klimie!... – odpowiedziało echo.

Po plecach geometry przebiegło mrowie na myśl, że będzie zmuszony spędzić całą noc w lesie, na chłodzie i przysłuchiwać się wyciu wilków i parskaniu nędznej kobyłki.

– Klimciu! – zawołał. – Gdzie jesteś, kochanie? Klimciu!

Dwie godziny krzyczał tak geometra i dopiero gdy ochrypł doszczętnie i pogodził się już zupełnie z myślą noclegu w lesie, doszły go czyjeś jęki wraz z lekkim powiewem wiatru.

– Klimie, to ty kochanku? pojedziemy.

– Za... zabijecie...

– Ależ ja zażartowałem. Niech mnie Bóg skarze! Zażartowałem, Jakie ja mam rewolwery? To ja ze strachu kłamałem. Proszę cię jedź, marznę.

Klim, zmiarkowawszy, widocznie, że prawdziwy bandyta dawno by już znikł z furą i koniem, wyszedł z lasu i niepewnym krokiem zbliżył się do swego pasażera.

– Czego, głupi, się zląkłeś? Ja tylko tak sobie zażartowałem, a tyś się przestraszył. Siadaj.

– Bóg z tobą – mruknął Klim, włażąc na furę. Gdybym był wiedział, tobym i za sto rubli nie pojechał. Małom nie umarł ze strachu.

Klim zaciął konia. Fura drgnęła, Klim zaciął po raz wtóry, fura zagibotała się, a gdy nareszcie po czwartym uderzeniu fura ruszyła z miejsca, geometra okrył uszy kołnierzem i zamyślił się. Droga i Klim nie wydawali mu się już niebezpiecznymi.

Po ciemku

Mucha średniego kalibru wleciała do nosa pomocnika prokuratora Gagina. Czy skusiła ją ciekawość, czy też padła ofiarą własnej lekkomyślności lub mroku – skutek był taki, że nos nie zniósł obecności obcego ciała i dał hasło do kichania. Gagin kichnął, kichnął z przejęciem, z przenikliwym świstem i tak donośnie, że łóżko zadrżało i odpowiedziało warknięciem podrażnionej sprężyny. Małżonka Gagina, Maria Michajłowna, okazała, tęga blondynka, na odgłos kichnięcia drgnęła i obudziła się. Utkwiła wzrok w ciemnościach, westchnęła i przewróciła się na drugi bok. Po kilku minutach przewróciła się znowu, mocniej przymknęła powieki, lecz sen już nie wracał. Wzdychała jeszcze, przewracała się przez pewien czas, w końcu jednak podniosła się, przelazła przez męża i włożywszy pantofle, podeszła do okna.

Na dworze było ciemno. Widać było tylko sylwetki drzew oraz ciemne dachy stodół. Niebo na wschodzie już nieco przybladło, ale bladość tę jęły zasnuwać nadciągające chmury. W powietrzu uśpionym, pogrążonym we mgle, panowała cisza. Milczał nawet stróż nocny, któremu płacono za to, że zakłócał spokój stukiem swego kija, milczał i derkacz – jedyny niedomowy ptak, który nie unikał sąsiedztwa letników miejskich.

Ciszę zakłóciła sama Maria Michajłowna. Stojąc u okna i spoglądając przez nie, nagle krzyknęła. Zdało jej się, że od strony klombu z wątłą strzyżoną topolą pośrodku przekradała się ku domowi jakaś ciemna postać. Początkowo myślała, że to krowa

albo koń, lecz przetarłszy oczy, zaczęła wyraźnie odróżniać kontury ludzkie.

Później wydało jej się, że ciemna figura zbliżyła się do okna kuchennego, stała chwilę nieruchomo, po czym postawiła nogę na gzymsie i... znikła w ciemnościach okna.

...Złodziej!... – przeszło jej przez myśl i trupia bladość okryła jej twarz.

I w jednej chwili wyobraźnia narysowała jej obraz, którego tak obawiają się letnicy: złodziej włazi do kuchni, z kuchni – do stołowego... srebro w szafie... potem sypialnia... topór... zbójeckie twarze... kosztowności... Kolana jej się ugięły i po plecach przeszło mrowie.

– Wasia! – zaczęła tarmosić męża. – Wasilij Prokoficz! Boże drogi, zupełnie, jak trup! Basile! obudź się, błagam cię!

– N-no... – zaryczał pomocnik prokuratora, wciągnąwszy w piersi powietrze.

– Obudź się, na litość boską! Do kuchni zakradł się złodziej! Stoję przy oknie, patrzę, a wtem ktoś wlazł przez okno. Z kuchni dostanie się do stołowego... łyżki w szafie. Basile! Do Mawry Jegorowny w zeszłym roku w ten sam sposób się zakradli!

– Czego... czego chcesz?

– Boże drogi, on nie słyszy! Zrozumże, kłodo jedna, właśnie w tej chwili dostrzegłam, że do naszej kuchni wtargnął jakiś człowiek... Pelagia się przestraszy... srebro w szafie...

– Głupstwo!

– Basile, to nie do wytrzymania! Mówię ci o niebezpieczeństwie, a ty śpisz. Czego chcesz? Chcesz, żeby nas okradli i zarżnęli?

Pomocnik prokuratora wstał, nie śpiesząc się usiadł na łóżku i zaczął głośno ziewać.

– Diabli wiedzą, co robić z wami – mruknął. – Czyż i w nocy nie można mieć spokoju? Budzą o byle co!

– Ależ przysięgam ci, Basile, widziałam, jak człowiek właził przez okno.

– Więc co? Niech sobie lezie... To zapewne przyszedł strażak do Pelagii.

– Co-o-o? Coś ty powiedział?

– Powiedziałem, że do Pelagii przyszedł jej strażak.

– Tym gorzej! – krzyknęła Maria Michajłowna. – To gorsze, niż złodziej. Nie zniosę cynizmu w swoim domu!

– Patrzcie, co za cnota... Nie zniosę cynizmu!... Czyż to cynizm? Po co strzelać bez potrzeby zagranicznymi słowami? To już, moja droga, od początku świata tak jest urządzone, uświęcone przez tradycję. Po to istnieją strażacy, aby chodzić do kucharek.

– Nie, Basile. Ty mnie, widocznie, nie znasz! Nie mogę nawet pomyśleć, by w moim domu coś takiego... w tym rodzaju... Proszę w tej chwili udać się do kuchni, kazać mu się natychmiast wynosić. A jutro powiem Pelagii, by nie śmiała sobie pozwalać na tego rodzaju swawole. Po mojej śmierci może pan tolerować w swoim domu cynizm, ale teraz – ani się ważyć! Proszę iść!

– Do licha! – warknął Gagin z wściekłością. – Rozważże swoim babskim mikroskopijnym mózgiem, po co ja tam pójdę?

– Basile, ja mdleję!

Gagin splunął, włożył pantofle i udał się do kuchni.

Było ciemno, jak w czopem zamkniętej beczce, i pomocnik prokuratora musiał posuwać się po omacku. Po drodze natknął się na drzwi dziecinnego pokoju i obudził niańkę.

– Wasiliso – powiedział – czyś nie wzięła wczoraj do czyszczenia mego szlafroka?

– Dałam go, proszę pana, do czyszczenia Pelagii.

– Co za nieporządki! Bierzecie, a potem nie kładziecie na miejsce. A teraz dopiero spaceruj bez szlafroka.

Wszedłszy do kuchni, skierował się ku miejscu, gdzie na skrzyni koło półki z rondlami spała Pelagia.

– Pelagio! – zaczął, namacawszy jej ramię i potrząsając nią. – Pelagio! Czego udajesz? Przecież nie śpisz. Któż to dopiero co wlazł do ciebie cichaczem przez okno?

– Hm – masz tobie! Wlazł przez okno! Kto by miał leźć?

– No ty, tego... bez udawania! Powiedz lepiej twemu nicponiowi, żeby się wynosił, póki cały. Słyszysz? Nie ma tu co robić!

– Czy pan przy zdrowych zmysłach? Masz tobie!... Na głupią trafiliście... Cały dzień haruję, nie mam spokoju, a w nocy przychodzą z takimi słowami! Za cztery ruble miesięcznie służyć z własną herbatą i cukrem... tylko takie słowa słyszeć i nie doznać nawet żadnego uszanowania... Ja u kupców służyłam, a takiego wstydu nie miałam.

– No, no... przestań teraz wywodzić żale! W tej chwili żeby tego sołdata tu nie było. Czy słyszysz?

– To grzech ze strony pana – powiedziała Pelagia, i w głosie jej dały się słyszeć łzy. – Państwo wykształceni, dobrze urodzeni, a nie mają tego wyrozumienia, że przy naszej niedoli, przy naszym życiu nieszczęsnym... – zaczęła płakać – każdy nas może skrzywdzić. Nikt nas nie obroni.

– No, no, mnie przecież wszystko jedno. Pani mnie wysłała. Dla mnie możesz nawet upiora wpuścić przez okno – wszystko mi jedno.

Pomocnikowi prokuratora pozostawało tylko przyznać się, że nie miał racji, prowadząc tę indagację, i wrócić do żony.

– Słuchaj no, Pelagio, tyś wzięła do czyszczenia mój szlafrok... Gdzie on jest?

– Ach, panie, przepraszam, zapomniałam go położyć na krześle. Wisi na gwoździu przy kominie.

Gagin namacał koło komina szlafrok, włożył go i po cichutku powlókł się do sypialni.

Maria Michajłowna po odejściu męża położyła się do łóżka i poczęła wyczekiwać. Jakieś trzy minuty była spokojna, lecz później zaczęły ją nurtować obawy.

...Jak długo jednak nie wraca! – myślała. – Jeszcze dobrze, jeśli tam jest ten... cynik, ale jeżeli złodziej?...

I wyobraźnia znowu ukazała jej obraz: mąż wchodzi do ciemnej kuchni... uderzenie obuchem... umiera, nie wydawszy jęku... kałuża krwi...

Minęło pięć minut, pięć i pół, nareszcie sześć... Zimny pot wystąpił jej na czoło...

– Basile! – zapiszczała – Basile!

– Czego krzyczysz? Jestem tu... – usłyszała głos i kroki męża. – Zarzynają cię, czy co?

Pomocnik prokuratora zbliżył się do łóżka i usiadł na brzegu.

– Nikogo tam nie ma – powiedział. – Przywidziało ci się, dziwaczko. Możesz być spokojna, twoja idiotka Pelagia jest równie cnotliwa, jak jej pani. Jaki z ciebie tchórz. Jakaś ty...

I pomocnik prokuratora zaczął żartować z żony. Wybił się ze snu i już nie chciało mu się kłaść.

– Co za tchórz! – śmiał się z żony. – Idź zaraz jutro do doktora leczyć się od halucynacji. Jesteś prawdziwa psychopatka!

– Coś jakby zapachniało dziegciem – powiedziała żona. – Dziegciem albo... czymś takim... cebulą... kapustą.

– Hm... coś jest w powietrzu... Spać mi się nie chce. Wiesz co? Zapalę świecę. Gdzie są zapałki? A propos – pokażę ci fotografię

prokuratora izby sądowej. Żegnał się z nami wczoraj i wszystkim rozdał po fotografii z autografem.

Gagin potarł zapałkę i zapalił świecę. Ale nie zdążył jeszcze zrobić kroku, by pójść po fotografię gdy za jego plecami rozległ się przeraźliwy, wstrząsający okrzyk. Obejrzawszy się, spostrzegł rozszerzone oczy żony, zwrócone ku niemu z wyrazem zdumienia, przerażenia i gniewu.

– Zdejmowałeś w kuchni szlafrok? – spytała, blednąc.

– Bo co?

– Spojrzyj na siebie!

Pomocnik prokuratora spojrzał na siebie i również krzyknął z przerażenia. Z jego ramion, zamiast szlafroka, zwisał płaszcz strażacki. W jaki sposób dostał się na jego plecy? Kiedy rozstrzygał tę kwestię, w wyobraźni jego żony utworzył się nowy obraz, straszny, niemożliwy: mrok, cisza, szept itd., itd.

Córa Albionu

Przed dwór obywatela ziemskiego Griabowa zajechał piękny powóz na gumowych kołach o aksamitnym siedzeniu i z tłustym stangretem. Z powozu wysiadł powiatowy marszałek szlachty Fiodor Ilicz Otcow. W przedpokoju przywitał go zaspany lokaj.

– Państwo w domu? – spytał marszałek.

– Nie ma. Pani z dziećmi pojechała z wizytą, a pan z mamzelą guwernantką łowi ryby od samego rana.

Otcow postał chwilę i poszedł nad rzekę szukać Griabowa. Znalazł go o dwie wiorsty od domu. Spojrzawszy w dół ze stromego brzegu rzeki i ujrzawszy Griabowa, Otcow parsknął śmiechem... Griabow, wysoki gruby mężczyzna, siedział na piasku, podgiąwszy nogi po turecku i łowił ryby. Kapelusz zesunął mu się na tył głowy, krawat wykrzywił. Obok niego stała cienka Angielka, z wyłupiastymi, jak u raka, oczyma i wielkim ptasim nosem, podobnym bardziej do haczyka, niż do nosa. Ubrana była w białą muślinową suknię, przez którą wyraźnie przeświecały jej chude, żółte ramiona. Ze złotego paska zwisał złoty zegarek. Łowiła również ryby. Otaczała ich zupełna cisza. Byli nieruchomi, jak rzeka, na której unosiły się pływaki ich wędek.

– Nie miała baba kłopotu! – zaśmiał się Otcow. – Witaj, Iwanie Kuzmiczu!

– A, to ty! – wyrzekł Griabow, nie odrywając oczu od wody. – Przyjechałeś?

– Jak widzisz... A ty wciąż zajmujesz się jeszcze tym bzdurstwem? Nie odzwyczaiłeś się?

– Jakiego diabła... Cały dzień łowię od samego rana... Źle się jakoś łowi. Nic nie złowiłem ani ja, ani ta małpa zielona. Siedzimy, siedzimy – i żeby to choć jakieś licho. Choć gwałtu krzycz!

– Pluń lepiej... Pójdziemy pić wódkę.

– Poczekaj... Może przecież coś złowimy. Koło wieczora ryba lepiej bierze. Siedzę tu, bracie, od samego rana. Takie nudy, że opowiedzieć trudno. Licho mnie skusiło, przyzwyczajać się do łowienia. Wiem, że to niedorzeczność, ale siedzę! Siedzę, jak hultaj jakiś, jak kajdaniarz, i patrzę na wodę, jak idiota. Należałoby pojechać na sianokosy, a ja łowię ryby. Wczoraj w Chaponiewie sam biskup nabożeństwo odprawiał, a ja ryby łowiłem z tą ropuchą, z tą diablicą...

– Ale... czyś ty zwariował? – spytał Otcow, skonfundowany, zerkając na Angielkę. – Wymyślasz przy damie... i to na nią.

– A niech ją diabli! Wszystko jedno, ani słówka nie rozumie po rosyjsku. Czy ją chwalić, czy ganić – jej wszystko jedno. Spojrzyj tylko na nos! Od samego widoku tego nosa można zemdleć! Siedzimy po całych dniach razem, ale żeby wyrzekła choć jedno słóweczko! Stoi, jak strach na wróble, i gały na wodę wytrzeszcza.

Angielka ziewnęła, zmieniła robaka i zarzuciła wędkę.

– Nie mogę wyjść ze zdumienia – ciągnął dalej Griabow – mieszka oślica dziesięć lat w Rosji i żeby choć jedno słowo po rosyjsku! Jakiś nasz arystokracik pojedzie do nich i prędko nauczy się paplać po tamecznemu, a oni... diabli ich wiedzą! Spojrzyj na nos! Na nos spojrzyj!

– Przestań... niezręcznie... Czemu napadasz na kobietę?

– To nie jest kobieta, to dziewica... O kawalerach, prawdopodobnie, marzy, kukła diabelska... I pachnie od niej jakąś zgnilizną. Znienawidziłem ją, bracie. Nie mogę na nią patrzeć obojętnie, kiedy spojrzy na mnie swoimi ślepiami, to się wzdrygam

cały, jakbym się łokciem o kant uderzył. Także lubi łowić ryby! Spojrzyj, łowi i celebruje... Z pogardą na wszystko patrzy... Stoi, bestia, i ma świadomość, że jest człowiekiem, a więc władcą natury. A wiesz, jak się nazywa? Uilka Czarlzowna Tfajs! Tfu!... wymówić nie można.

Angielka, usłyszawszy swoje nazwisko, spokojnie zwróciła nos w stronę Griabowa i zmierzyła go wzgardliwym spojrzeniem.

Z Griabowa przeniosła wzrok na Otcowa i również oblała go swą wzgardą. A wszystko w milczeniu, poważnie, z flegmą.

– Widziałeś? – spytał, śmiejąc się, Griabow. – Ot, macie! powiada. Ach, ty koczkodanie! Tylko ze względu na dzieci trzymam tego trytona. Gdyby nie dzieci, to bym nie dopuścił jej o dziesięć wiorst do swego majątku. Nos jak u jastrzębia... A kibić!? Ta lala przypomina mi długi gwoździ. Chce mi się, wiesz, wziąć ją, i wbić w ziemię... Poczekaj!... U mnie, zdaje się, bierze...

Griabow wstał i pociągnął... raz, potem pociągnął znowu i nie wydobył haczyka.

– Zaczepił się – powiedział i zmarszczył brwi. – O kamień, prawdopodobnie... Do licha!

Na jego twarzy pojawił się wyraz cierpienia. Wzdychając, poruszając się niespokojnie i mrucząc przekleństwa, zaczął szarpać wędkę. Szarpanie jednak nie doprowadziło do niczego. Griabow zbladł.

– Jaka szkoda! Trzeba będzie wleźć do wody.

– Ale, rzuć do diabła!

– Niemożliwe... Przed wieczorem najlepiej się łowi... Co za niemiła przygoda, mój Boże. Trzeba leźć do wody. Trzeba! A gdybyś wiedział, jak mi się nie chce rozbierać... Angielkę trzeba usunąć... Przy niej nie wypada się rozbierać. Jednak dama! – Griabow zrzucił kapelusz i krawat.

– Miss... e-e-e – zwrócił się do Angielki. – Miss Tfajs! Że wu pri... jak jej powiedzieć? Jak ci powiedzieć, żebyś zrozumiała? Posłuchaj pani... tam! Tam iść! Słyszysz?

Miss Tfajs wionęła na Griabowa pogardą i wydała dźwięk nosowy.

– Co? nie rozumiesz? Wynoś się stąd, mówię ci. Muszę się rozebrać, kukło diabelska. Tam idź! Tam!

Griabow pociągnął miss za rękaw, wskazał jej na krzaki i przysiadł na ziemi – miało to oznaczać: idź za krzaki i schowaj się tam.

Angielka, ruszając energicznie brwiami, wyrzekła prędko jakiś długi frazes angielski. Obywatele parsknęli śmiechem.

– Pierwszy raz w życiu słyszę jej głos... Nie ma co mówić, głosik!

– Pluń, chodźmy pić wódkę.

– Niemożliwe, teraz powinna się złowić... Wieczór... Co robić?

– A to dopiero historia! Trzeba będzie przy niej się rozebrać.

Griabow zrzucił z siebie marynarkę i kamizelkę i siadł na piasku, by zdjąć buty.

– Posłuchaj, Iwanie Kuzmiczu – zwrócił mu uwagę marszałek, śmiejąc się w kułak. – To już naigrawanie się...

– Nikt jej nie prosi, żeby nie rozumiała. To nauka dla nich, dla cudzoziemców!

Griabow zdjął buty, spodnie, zrzucił z siebie bieliznę i został w stroju Adama. Otcow trzymał się za brzuch i aż zarumienił się ze śmiechu i wstydu. Angielka poruszała brwiami i mrugała oczyma. Po jej wyżółkłej twarzy przemknął się wyniosły, pogardliwy uśmiech.

– Trzeba ostygnąć – powiedział Griabow – klepiąc się po brzuchu. Powiedz mi, proszę cię, dlaczego ja co lato dostaję wysypki na piersiach?

– Właźże do wody albo przykryj się czymś! Bydlę!

– I żeby się chociaż zmieszała, podła! – powiedział Griabow, włażąc do wody i robiąc znak krzyża. – Brr... zimna woda! Patrz, jak brwiami rusza! Nie odchodzi... Stoi ponad tłumem!... He-he-he! nawet nie uważa nas za ludzi!

Wszedł po kolana w wodę i wyprostowawszy całą swą kolosalną figurę, powiedział:

– Tu dla ciebie nie Anglia! Co?

Miss Tfajs obojętnie zmieniła robaka, ziewnęła i zarzuciła wędkę.

Otcow się odwrócił. Griabow odczepił haczyk, dał nurka i sapiąc, wylazł z wody. Dwie minuty później siedział znów na piasku i łowił ryby.

Potwarz

Nauczyciel kaligrafii Sergiusz Kapitonycz Achiniejew wyprawiał wesele swej córce, którą wydawał za nauczyciela historii i geografii Iwana Piotrowicza Łoszadzinych. Bawiono się ochoczo – wszystko szło, jak po maśle. W salonie śpiewano, grano, tańczono. Po pokojach biegali, jak opętani, wypożyczeni w klubie lokaje w czarnych frakach i białych, zabrudzonych krawatach. Panowała wrzawa i gwar. Nauczyciel matematyki Tarantułow, Francuz Pasdequoi i młodszy rewizor izby kontroli Mzda, siedząc koło siebie na sofie, opowiadali gościom wypadki, jak to składano w grobie żywych ludzi, śpiesząc się i przerywając sobie wzajemnie, ponadto zaś wypowiadali swoje opinie o spirytyzmie. Żaden z nich nie wierzył w spirytyzm, ale wszyscy się zgadzali, że istnieją na świecie rzeczy, których nigdy nie zgłębi rozum ludzki. W drugim pokoju nauczyciel literatury Dodonski tłumaczył gościom, w jakich razach żołnierz, stojący na warcie, ma prawo strzelać do przechodniów. Rozmowy, jak widać, były straszne, lecz przyjemne. Przez okna z podwórza zaglądali ludzie, niemający prawa wejść do środka ze względu na swą sytuację społeczną.

Punktualnie o północy gospodarz klasowy Achiniejew poszedł do kuchni przekonać się, czy wszystko już gotowe do kolacji. Kuchnia od podłogi do sufitu zapełniona była dymem, z którym mieszały się wonie pieczonych gęsi i kaczek oraz wiele innych. Na dwóch stołach rozstawione, porozkładane były w artystycznym nieładzie różne zakąski i napoje. Przy stołach krzątała się kucharka Marfa, czerwona baba z podwójnym brzuchem.

– Pokaż no mi jesiotra! – powiedział Achiniejew, zacierając ręce i oblizując się. – Co za zapach! Co za miazmat! – Chciałoby się całą kuchnię zjeść! No, pokażże jesiotra!

Marfa zbliżyła się do jednej z ławek i ostrożnie uniosła zatłuszczony arkusz gazety. Pod tym arkuszem na ogromnym półmisku leżał jesiotr w galarecie, upstrzony kaparami, oliwkami i marchewką. Achiniejew spojrzał na jesiotra i osłupiał z zachwytu. Twarz mu się rozjaśniła, oczy zaiskrzyły. Nachylił się i wydał wargami dźwięk nieposmarowanego koła. Postawszy chwilkę, strzepnął palcami i jeszcze raz cmoknął wargami.

– Ba! Dźwięk płomiennego pocałunku!... – Z kim się tak całujesz, Marfo? – ozwał się głos z sąsiedniego pokoju i we drzwiach ukazała się strzyżona głowa pomocnika gospodarza klasowego Wańkina. – Z kim to? A-a-a – bardzo przyjemnie! Z Sergiuszem Kapitonyczem. Dobry starzec, nie ma co mówić! Z płcią nadobną tête-à-tête.

– Ja się wcale nie całuję – zmieszał się Achiniejew – kto ci to powiedział durniu? Ja tylko tego... wargami cmoknąłem... z zadowolenia... na widok ryby...

– Gadaj zdrów!

Uśmiechnięta twarz Wańkina zniknęła za drzwiami, Achiniejew zarumienił się.

...Licho wie, co takiego – pomyślał sobie. – Pójdzie teraz, gałgan, będzie opowiadał i naplotkuje. Przed całym miastem mnie skompromituje, bydlę!

Achiniejew nieśmiało wsunął się do salonu i zerknął w bok: gdzie Wańkin? Wańkin stał koło fortepianu i przybrawszy zuchowatą pozę, szeptał coś do ucha, śmiejącej się, krewnej inspektora.

...To o mnie! – pomyślał Achiniejew. – O mnie, niech go szlak trafi! A ona wierzy! Śmieje się. Boże drogi! Nie można tego tak zostawić...

nie... Trzeba tak zrobić, żeby mu nie wierzyli... Pomówię z nimi wszystkimi – i jego jeszcze na dudka wystrychnę.

Achiniejew podrapał się w głowę i wciąż zażenowany, zbliżył się do Pasdequoi.

– Byłem dopiero co w kuchni, żeby wydać dyspozycje co do kolacji – powiedział Francuzowi. – Ja wiem, że pan lubi ryby, a mam, panie drogi, jesiotra – palce lizać! Ze dwa arszyny! He-he-he... Ale à propos... o mało nie zapomniałem... Z tym jesiotrem – to prawdziwa anegdota! Wchodzę do kuchni i chcę obejrzeć potrawy... Patrzę na jesiotra i z zadowolenia... że to sztuka pikantna... cmok wargami! A w tej właśnie chwili nagle wchodzi ten dureń Wańkin i – ha-ha-ha! mówi: – „A-a-a... Całujecie się tu?... z Marfą kucharką". – Też wymyślił, osioł! Obskurna baba, a on... całować się! Dziwak!

– Kto dziwak? – spytał Tarantułow, zbliżywszy się.

– To ten Wańkin! Wchodzę do kuchni...

I opowiedział o Wańkinie.

– Rozśmieszył mnie ten dureń! Moim zdaniem zaś przyjemniej byłoby pocałować się z mopsem, niż z Marfą – dodał, obejrzał się i ujrzał za sobą Mzdę.

– My o Wańkinie – powiedział mu. – To dopiero dziwak! Wchodzi do kuchni, zobaczył mnie razem z Marfą i zaczyna różne żarciki stroić. – „Czemu się całujecie?" – powiada. Po pijanemu widać tak mu się zdawało. Ale ja, mówię, prędzej z indorem się pocałuję, niż z Marfą. Ja mam żonę, powiadam, durniu ty jeden. Rozśmieszył mnie!

– Kto pana rozśmieszył? – zagadnął pop, nauczyciel religii.

– Wańkin. Stoję sobie, widzi pan, w kuchni i patrzę na jesiotra...

I tak dalej.

Nie minęło i pół godziny, a już wszyscy goście wiedzieli o historii z jesiotrem i Wańkinem.

...Niech im sobie teraz opowiada! – myślał Achiniejew. – Niech! On zacznie opowiadać, a każdy mu zaraz przerwie: – „Przestać, durniu, pleść głupstwa! Wiemy wszystko!".

I Achiniejew uspokoił się do tego stopnia, że wypił cztery kieliszki nad miarę. Odprowadziwszy po kolacji państwa młodych do sypialni, udał się do siebie i zasnął, jak niewinne dziecię; nazajutrz zaś już nie pamiętał o historii z jesiotrem. Lecz niestety! Człowiek strzela, a Bóg kuli nosi. Złe języki zrobiły swoje i Achiniejewowi nie pomogły jego zabiegi. Akurat w tydzień później, w środę, po trzeciej lekcji, gdy Achiniejew stał w pokoju nauczycielskim i rozprawiał o występnych nałogach ucznia Wysiekina, zbliżył się do niego dyrektor i odwołał go na bok.

– Mam parę słów do pana, Sergiuszu Kapitonyczu – rzekł do niego. – Przepraszam... To nie moja sprawa, muszę jednak dać do zrozumienia... Mój obowiązek... Widzi pan, kursują pogłoski, że pan żyje z tą... kucharką... To nie moja sprawa, ale... Niech pan sobie z nią żyje... jak pan chce, tylko prosiłbym, nie tak otwarcie! Ja pana proszę! Nie zapominaj pan, że jesteś pedagogiem!

Achiniejewowi zrobiło się zimno i mdło. Jak pokąsany przez rój pszczół i oblany wrzątkiem, poszedł do domu. Szedł i zdawało mu się, że całe miasto patrzy na niego, jak na zhańbionego. W domu oczekiwało go nowe nieszczęście.

– Czemu nic nie żresz? – spytała go żona podczas obiadu. – Nad czymś się zamyśliłeś? O amorach myślisz? Za Marfuszą się zatęskniłeś? O wszystkim wiem, ty bisurmanie! Dobrzy ludzie otworzyli mi oczy. Uch... barbarzyńco!

I bęc go po twarzy... Wstał od stołu i nie czując ziemi pod nogami, bez czapki i płaszcza, powlókł się do Wańkina. Zastał go w domu.

– Podlec z ciebie – zwrócił się Achiniejew do Wańkina. – Za coś mnie przed całym światem błotem obrzucił? Dlaczegoś o mnie potwarz rozsiewał?

– Jaką potwarz? Co się panu przyśniło?

– A kto naplotkował, że ja się z Marfą całuję? Powiesz, że nie ty? Nie ty, zbrodniarzu?

Wańkin drgnął i zadygotał wszystkimi fibrami swej pomiętej twarzy, wzniósł oczy ku obrazowi i przemówił:

– Niech mnie Bóg skarze! Niech mi oczy wypłyną, niech zdechnę, jeżeli chociaż słowo o panu mówiłem. Niech mnie wszystkie... cholery za mało!...

Szczerość Wańkina nie ulegała wątpliwości. Jasnym było, że to nie on naplotkował.

...Lecz kto?... kto... – zamyślił się Achiniejew, przebiegając w pamięci wszystkich swoich znajomych i bijąc się w piersi. – Któż wreszcie?...

– Kto?... – i my spytamy czytelnika.

Szczęśliwy

Ze stacji Bołogoje kolei Mikołajewskiej rusza pociąg osobowy. W jednym z przedziałów drugiej klasy „dla palących", pogrążonym w mroku, drzemie pięciu pasażerów. Tylko co skończyli się posilać i teraz, przytuliwszy głowy do oparcia ławek, starają się zasnąć. Panuje cisza.

Drzwi się otwierają i do przedziału wchodzi wysoka postać w rudawym kapeluszu i eleganckim palcie, mocno przypominająca korespondentów, spotykanych w operetkach i powieściach Jules'a Verne'a.

Postać zatrzymuje się pośrodku wagonu, sapie i spod zmrużonych powiek długo patrzy w kierunku ławek.

– Nie, to nie ten... – mruczy – diabli wiedzą, co to takiego, wprost oburzające, nie, to nie ten...

Jeden z pasażerów przygląda się postaci i wybucha radosnym okrzykiem:

– Iwanie Aleksejewiczu, skąd się pan tu wziął? To pan?

Wysmukły Iwan Aleksejewicz wstrząsa się, bezmyślnie spogląda na pasażera, poznawszy go jednak, wesoło klaszcze w dłonie.

– Ach, Piotrze Piotrowiczu, kopę lat! A ja wcale nie wiedziałem, że pan jedzie tym pociągiem.

– Jak zdrowie?

– Nieźle, tylko, ot, dobrodzieju, zgubiłem swój wagon i nie mogę go teraz w żaden sposób znaleźć. Taki ze mnie idiota! Warto by mnie obić!

Wysmukły Iwan Aleksejewicz słania się i chichocze.

– Zdarzają się przecież takie wypadki! – ciągnie dalej. – Wyszedłem po drugim dzwonku napić się koniaku, napiłem się i myślę sobie, że do najbliższej stacji jeszcze daleko, warto by więc może wypić jeszcze kieliszek. Kiedy więc myślałem i piłem, nagle trzeci dzwonek... pędzę, jak wariat, i wskakuję do pierwszego lepszego wagonu. No, czy nie idiota ze mnie? Nie cymbał?

– Widocznie jest pan w wesołym nastroju – mówi Piotr Piotrowicz. – Przysiądź się pan. Bardzo proszę.

– Nie mogę, pójdę szukać mego wagonu. Do widzenia!

– Po ciemku jeszcze pan, co nie daj Boże, z platformy spadnie. Siadaj pan, a gdy dojedziemy do stacji, odszukasz pan swój wagon.

Iwan Aleksejewicz wzdycha i z wahaniem siada naprzeciwko Piotra Piotrowicza. Jest widocznie podniecony i siedzi jak na szpilkach.

– Dokąd pan jedzie? – zapytuje Piotr Piotrowicz.

– Ja? W świat! W głowie mam taki zamęt, iż sam się nie orientuję, dokąd jadę. Wiedzie mnie los, więc jadę. Cha, cha! Kochany panie, czy pan widział kiedy szczęśliwych głupców? Nie? To niech pan patrzy na mnie. Ma pan przed sobą najszczęśliwszego ze śmiertelników! Tak jest! Nie poznać nic po mojej twarzy?

– Niby znać... że pan trochę... tego...

– Muszę teraz mieć strasznie głupią fizjonomię. Szkoda, że nie ma lustra, chciałbym teraz spojrzeć na moją mordolizację. Czuję, dobrodzieju, że odbywam podróż poślubną. No, czy nie fujara ze mnie?

– Pan? Czy się pan ożenił?

– Dzisiaj, mój najdroższy, wziąłem ślub i wprost na kolej.

Rozpoczynają się powinszowania i zwykłe zapytania.

– Acha! – śmieje się Piotr Piotrowicz – dlatego się pan tak wyelegantował.

– Tak, dla całkowitego złudzenia nawet się uperfumowałem. Po uszy pogrążyłem się w drobiazgach. Ani kłopotów, ani żadnych myśli, jedynie uczucie czegoś takiego... diabli wiedzą, jak to nazwać – błogości, powiedzmy. Nigdy jeszcze tak dobrze się nie czułem.

Iwan Aleksejewicz przymruża oczy i kręci głową.

– Jestem oburzająco szczęśliwy! – mówi. – Osądź pan sam. Pójdę teraz do swego wagonu. Tam na kanapie, przy oknie, siedzi kobieta, która całą swą istotą, że tak powiem, jest mi oddana. Blondyneczka taka, z noskiem, z paluszkami. Serduszko ty moje! Aniołku ty mój! Kruszynka taka. Filoksera mojej duszy! A nóżka! Boże drogi, nóżka – to przecież nie to, co wasze nogasy, lecz po prostu jakaś miniatura, jakieś czarodziejstwo, alegoria! Chciałoby się wziąć i zjeść taką nóżkę. Cóż, pan nic nie rozumie! Pan jest materialistą, zaraz u pana to to – to owo. Kawaler o sercu oschłym – i nic więcej. Jak się pan ożeni, to sobie pan przypomni. – „Gdzie się teraz obraca Iwan Aleksejewicz?" – powie pan sobie. Otóż, pójdę zaraz do swego wagonu, tam mnie ktoś oczekuje z niecierpliwością, ma przedsmak mego zjawienia się. Wita mnie twarz uśmiechnięta, przysiadam się i tak dwoma palcami za podbródek...

Iwan Aleksejewicz kręci głową i zanosi się od szczęśliwego śmiechu.

– Potem kładę łepetynę na jej ramieniu i obejmuję kibić. Wokoło, rozumie pan, cisza... poetyczny półzmrok. Cały świat chciałoby się uścisnąć w takiej chwili. Piotrze Piotrowiczu, niech pan pozwoli się uścisnąć.

– Proszę bardzo.

Przyjaciele przy ogólnym śmiechu pasażerów ściskają się i szczęśliwy nowożeniec ciągnie dalej:

– A dla większego idiotyzmu, albo, jak tam piszą w powieściach, dla większej złudy – idę do bufetu i wychylam dwa, trzy kieliszki.

Wtedy w głowie i w piersiach powstaje coś takiego, czego i w bajkach znaleźć trudno. Jestem niewybitnym, nieznanym człowiekiem, a zdaje mi się, że granic nie mam, że cały świat ogarniam.

Pasażerowie, patrząc na wstawionego szczęśliwego nowożeńca, zarażają się jego wesołością i spać im się odechciewa. Zamiast jednego słuchacza, Iwan Aleksejewicz wkrótce ma pięciu. Kręci się, jak na szpilkach, parska, wymachuje rękami i gada bez przerwy. Śmieje się i wszyscy śmieją się z nim razem.

– Grunt, panowie, to jak najmniej myśleć! Do diabła wszystkie te analizy! Chce ci się pić – to pij, a nie filozofuj, czy to pożyteczne, czy szkodliwe... Wszystkie te filozofie i psychologie do diabła!

Przez wagon przechodzi konduktor.

– Mój dobrodzieju – zwraca się do niego nowożeniec – jak pan będzie przechodzić przez wagon numer dwieście dziewiąty, to proszę poszukać tam panią w szarym kapeluszu z białym ptaszkiem i powiedzieć jej, że jestem tutaj.

– Dobrze. Tylko w tym pociągu nie ma numeru dwieście dziewiątego, jest tylko dwieście dziewiętnasty.

– Niech będzie dwieście dziewiętnasty. Wszystko jedno! Więc proszę powiedzieć tej pani: mąż jest zdrów i cały.

Iwan Aleksejewicz chwyta się nagle za głowę i jęczy:

– Mąż... pani... czyż to dawno?... mąż... Che, che! W skórę powinieneś brać, a jesteś mężem. Ach, idioto! A ona! Wczoraj jeszcze była dziewczątkiem... motylkiem... Nie chce się wierzyć...

– W naszych czasach nawet dziwne się wydaje spotkać szczęśliwego człowieka – mówi jeden z pasażerów. – Prędzej można trafić na białego słonia.

– Tak, a kto winien? – mówi Iwan Aleksejewicz, wyciągając swoje długie nogi w trzewikach z ostrymi nosami. – Jeżeli nie jesteście

szczęśliwi, to samiście sobie winni? Myślicie, że nieprawda? Człowiek jest sam twórcą swego szczęścia. Jeśli tylko zechcecie, będziecie szczęśliwi. Ale wy nie chcecie, uparcie uchylacie się od szczęścia.

– Masz tobie! A to w jaki sposób?

– Bardzo prosty!... Przyroda postanowiła, aby człowiek w pewnym okresie swego życia kochał. I gdy okres ten nastaje – kochaj ze wszystkich sił, a przecież wy nie słuchacie natury, wciąż czegoś oczekujecie. Dalej, prawo mówi, że normalne indywiduum powinno się ożenić. Bez małżeństwa nie ma szczęścia. Trafiły się okoliczności sprzyjające – to się żeń, nie marudź. Ale przecież wy się nie żenicie, wciąż na coś czekacie. Dalej, powiedziane jest w Piśmie Świętym, że wino rozwesela serce człowieka... Jeżeli ci jest dobrze i chcesz, aby ci było jeszcze lepiej – to idź do bufetu i wypij. Grunt – nie mędrkować, jeno żyć według szablonu. Szablon – to wielka rzecz.

– Pan mówi, że człowiek jest twórcą swego szczęścia. Jakim, u licha, jest twórcą, jeśli dość chorego zęba albo złej teściowej, żeby jego szczęście wywróciło się do góry nogami? Wszystko zależy od przypadku. Niechby się z nami zdarzyła teraz katastrofa, to by pan zaraz inaczej zaśpiewał...

– Głupstwo – protestuje nowożeniec. – Katastrofy zdarzają się raz na rok, żadnych wypadków się nie boję, bo nie ma żadnej racji, żeby się zdarzyły. Wypadki są rzadkie. Pal je licho! Nawet mówić o nich nie chcę! Ale zdaje się, że dojeżdżamy do przystanku.

– Pan dokąd teraz jedzie? – zapytuje Piotr Piotrowicz. – Do Moskwy czy też dalej na południe?

– Masz tobie! W jaki sposób, jadąc na północ, mogę trafić gdzieś dalej na południe?

– Ale przecież Moskwa nie jest na północy.

– Wiem, lecz my jedziemy przecie do Petersburga.

– Do Moskwy jedziemy, zlituj się pan!

– W jaki sposób do Moskwy? – dziwi się nowożeniec.

– Dziwne... Dokąd pan wziął bilet?

– Do Petersburga.

– W takim razie winszuję. Wsiadł pan do niewłaściwego pociągu.

Pół minuty przechodzi w milczeniu. Nowożeniec wstaje i tępym wzrokiem ogarnia całe towarzystwo.

– Tak, tak! – objaśnia Piotr Piotrowicz. – Na stacji Bołogoje po koniaku diabli pana skusili wskoczyć do pociągu, idącego w odwrotnym kierunku.

Iwan Aleksejewicz blednie, chwyta się za głowę i zaczyna szybko biegać po wagonie.

– Ach, ciężki idiota ze mnie! – wyrzeka. – Podlec ze mnie, niech mnie diabli porwą! Co ja teraz zrobię?! Przecież w tamtym pociągu jest żona! Sama jedna... czeka... tęskni... Ach, błazen ze mnie!

Nowożeniec pada na ławkę, krzywi się, jak gdyby mu ktoś nastąpił na odcisk.

– Nieszczęsny ze mnie człowiek! – jęczy. – Co ja zrobię?... Co?...

– No, no! – pocieszają go pasażerowie. – Głupstwo... Zatelegrafuj pan do żony, a sam postaraj się wsiąść po drodze do pośpiesznego pociągu. W ten sposób ją pan dogoni.

– Pośpieszny pociąg... – płacze nowożeniec – „twórca swego szczęścia". – A skąd wezmę pieniędzy na kurier? Wszystkie pieniądze ma żona.

Porozumiawszy się między sobą, pasażerowie urządzają składkę i zaopatrują szczęśliwca w monetę.

Dyrektor pod kanapą

Zakulisowa historia

Dawano „Wodewil z przebieraniem się". Klaudia Matwiejewna Dolska-Kauczukowa, młoda, sympatyczna artystka, gorąco oddana świętej sztuce, wpadła do swojej garderoby i zaczęła szybko zrzucać z siebie ubranie cyganki, by w jednej chwili włożyć kostium huzarski. Żeby uniknąć fałd i aby kostium leżał na niej gładko i ładnie, utalentowana artystka zdecydowała się zrzucić z siebie wszystko do cna i włożyć go wprost na kostium Ewy. Gdy była już rozebrana i kuląc się od lekkiego chłodu, poczęła wygładzać huzarskie rajtuzy, do uszu jej doszło ciche westchnienie. Otworzyła szeroko oczy i zaczęła się przysłuchiwać. Jeszcze raz ktoś westchnął i nawet wyszeptał:

– Och, jakże ciężkie nasze grzechy!

Artystka obejrzała się i nie zobaczywszy ku swemu zdumieniu nic podejrzanego w garderobie, zdecydowała się rzucić okiem na wszelki wypadek pod jedyny mebel – pod kanapę. I oto właśnie tam ujrzała długą figurę ludzką.

– Kto tu jest? – krzyknęła przerażona, odskakując od kanapy i przykrywając się huzarską kurtką.

– To ja... ja – dał się słyszeć spod kanapy drżący głos – niech się pani nie boi, to ja... Tss!...

W sepleniącym szepcie, podobnym do skwierczenia patelni, artystka z łatwością poznała głos swego dyrektora Indiukowa.

– To pan? – oburzyła się, czerwona, jak piwonia. – Jak... pan śmiał?! Cały czas tu, stary podlecu, leżałeś? Tego jeszcze brakowało!

– Droga... gołąbko moja! – zaczął Indiukow, wysuwając swą łysą głowę spod kanapy – nie gniewaj się, najdroższa! Zabij mnie, zdepcz, jak żmiję, ale bądź cicho! Nic nie widziałem, nie widzę i widzieć nie chcę. Niepotrzebnie nawet pani się zakrywa, piękności moja nieopisana! Niech pani wysłucha starca, stojącego już jedną nogą w grobie. Tylko po to tu się ukryłem, by ratować życie! Ginę! Niech pani patrzy: włosy mi się najeżyły. Z Moskwy przyjechał mąż mojej Głaszeńki. Teraz biega po teatrze i czyha na moją zgubę. Okropne! Przecież, nie mówiąc o Głaszeńce, jestem mu winien pięć tysięcy.

– A mnie co do tego? Wynoś się w tej chwili, albo sama nie wiem, co z tobą, ty podlecu jeden, zrobić!

– Tss... złotko, tss!... Na kolanach błagam, czołgam się. Gdzie mam się przed nim ukryć, jeżeli nie u pani? Znajdzie mnie przecież wszędzie, tylko tu wejść się nie ośmieli. Błagam! Proszę! Dwie godziny temu go widziałem. Stoję sobie podczas pierwszego aktu za kulisami i patrzę, a tu on idzie z widowni na scenę.

– To znaczy, że pan i podczas dramatu tu leżał? – przeraziła się artystka. – I... i wszystko pan widział?

Dyrektor zaczął szlochać.

– Drżę! Trzęsę się! Zabije przeklęty. Przecież już raz strzelał do mnie w Nowogrodzie... W gazetach pisali...

– Ach... to ostatecznie jest nie do wytrzymania! Wynoś się pan, bo już czas mi się ubierać i wyjść na scenę. Wynoś się, bo... krzyknę, rozpłaczę się głośno albo lampą cisnę w pana!

– Tss!... nadziejo moja, kotwico zbawienia. Pięćdziesiąt rubli podwyżki – tylko niech mnie pani stąd nie wyrzuca. Pięćdziesiąt!

Artystka okryła się jakimiś szmatkami, pobiegła do drzwi, by wołać o pomoc, Indiukow czołgał się za nią na kolanach i złapał ją za nogę powyżej kostki.

– Siedemdziesiąt pięć rubli, tylko nie wypędzaj! – zasyczał, dusząc się. – Jeszcze pół benefisu dodam.

– Kłamiesz!

– Niech mnie Bóg skarze! Przysięgam. Żebym przepadł... Pół benefisu i siedemdziesiąt pięć rubli podwyżki!

Dolska-Kauczukowa wahała się chwilkę, wreszcie odeszła od drzwi.

– Przecież pan kłamie – powiedziała płaczliwie.

– Niech się pod ziemię zapadnę, niech zbawienia nie doczekam! Czy to ja gałgan jaki, czy co?

– Dobrze, pamiętaj pan – zgodziła się artystka. – No, właź pan pod kanapę.

Indiukow ciężko westchnął i sapiąc, wlazł pod kanapę, a Dolska-Kauczukowa zaczęła się prędko ubierać. Palił ją wstyd, że w jej garderobie pod kanapą leży obcy mężczyzna, ale świadomość, że zrobiła to dla świętej sztuki, dodała jej tyle otuchy, że zrzucając z siebie później huzarskie ubranie, nie tylko nie wymyślała, ale nawet wyrażała współczucie:

– Pan się tam powala, Kuzma Aleksieiczu – Bo przecież najrozmaitsze przedmioty stawiam pod kanapę.

Wodewil się skończył. Artystkę wywoływano kilkanaście razy; ofiarowano jej bukiet ze wstęgami i napisem: „Zostań z nami!" Wracając po owacjach do swojej garderoby, spotkała za kulisami Indiukowa. Zawalany i potargany dyrektor promieniał i zacierał ręce z zadowolenia.

– Cha-cha!... Wyobraź sobie, gołąbeczko! – powiedział, zbliżywszy się do niej – śmiej się ze starego durnia. Wyobraź sobie, to nie był wcale Pryndin. Ha-ha! Do diabła, długa, ruda broda wprowadziła mnie w błąd... Pryndin też ma długą, rudą brodę. Omyliłem się,

stary osioł. He-he! Niepotrzebniem cię tylko niepokoił, czarodziejko moja.

– Ale niech pan tylko nie zapomni o tym, co mi pan obiecał – powiedziała Dolska-Kauczukowa.

– Pamiętam, pamiętam, złotko moje, ale... gołąbko droga, to nie był Pryndin! Myśmy się umawiali tylko co do Pryndina, dlaczego więc mam spełniać obietnicę, skoro to nie był Pryndin. Gdyby to on był – to co innego, a przecież sama widzisz, że się myliłem. Jakieś dziwadło wziąłem za Pryndina.

– Co za nikczemność – oburzyła się artystka. – Nikczemność! Podłość!

– Gdyby to był Pryndin, to rozumie się, miałaby pani zupełne prawo żądać, żebym spełnił obietnicę, a to przecież był licho wie kto. Może to był jakiś szewc albo za przeproszeniem, krawiec – to ja mam za niego płacić. Jestem człowiekiem uczciwym... Rozumiem...

I odchodząc, wciąż gestykulował i mówił:

– Gdyby to był Pryndin, to rozumie się, byłbym zobowiązany, ale przecież to jakiś nieznajomy... Jakiś, licho go wie, rudy człowiek i wcale nie Pryndin...

Damy

W kancelarii dyrektora szkół ludowych N-skiej guberni, Fiedora Piotrowicza, który uważał siebie za człowieka sprawiedliwego i szlachetnego, siedział w godzinach przyjęć nauczyciel Wremienski.

– Nie, panie Wremienski – mówił dyrektor – dymisja jest nieunikniona. Z pańskim głosem nie można kontynuować pracy nauczycielskiej. Lecz w jaki sposób pan go stracił?

– Byłem spocony i wypiłem zimnego piwa – odpowiedział syczącym głosem nauczyciel.

– Jaka szkoda! Przesłużył człowiek czternaście lat – i nagle takie nieszczęście! Diabli wiedzą przez jakie głupstwo można sobie zwichnąć karierę. Cóż pan ma zamiar teraz robić?

Nauczyciel nie odpowiedział.

– Ma pan rodzinę? – spytał dyrektor.

– Żona i dwoje dzieci, Ekscelencjo... – zasyczał nauczyciel.

Zapanowało milczenie. Dyrektor wstał od stołu i nerwowo przeszedł się po pokoju.

– Zachodzę w głowę, co mam z panem robić – powiedział – nauczycielem pan być nie może, do emerytury pan jeszcze nie dociągnął... a pozostawić pana na łasce losu, puścić na cztery wiatry jakoś nie wypada... Pan jest dla nas już swoim człowiekiem, służył pan czternaście lat – więc obowiązkiem naszym jest pomóc panu... Ale jak pomóc? Co mogę zrobić dla pana? Niech pan wejdzie w moje położenie: co ja mogę dla pana zrobić?

Znowu zaległo milczenie; dyrektor chodził i wciąż rozmyślał, a Wremienski, zgnębiony swoim nieszczęściem, siedział na brzegu

krzesła i również rozmyślał. Nagle, twarz dyrektora rozpromieniła się i nawet trzepnął palcami z uciechy.

– Dziwne, że sobie o tym wcześniej nie przypomniałem – począł mówić prędko. – Oto co mogę panu zaproponować... W przyszłym tygodniu sekretarz naszego przytułku porzuca posadę. Jeżeli pan chce, to niech pan zajmie jego miejsce.

Twarz Wremienskiego, który nie spodziewał się takiej łaski, również się rozpromieniła.

– Doskonale – powiedział dyrektor. – Niech pan dziś jeszcze napisze podanie.

Pożegnawszy się z Wremienskim, Fiedor Piotrowicz poczuł ulgę, a nawet zadowolenie: nie sterczała już przed nim zgarbiona postać syczącego pedagoga i sprawiała mu satysfakcję świadomość, że skoro zaproponował Wremienskiemu wakującą posadę, postąpił sprawiedliwie, zgodnie z sumieniem, jak dobry i prawdziwie porządny człowiek. Ale ten przyjemny nastrój trwał niedługo. Gdy wrócił do domu i zasiadł do obiadu, żona Nastasja Iwanowna przypomniała sobie nagle:

– Ach, prawda, o mało nie zapomniałam! Wczoraj była u mnie Nina Sergejewna i prosiła o poparcie dla pewnego młodego człowieka. Podobno w naszym przytułku otwiera się wakat...

– Tak, ale tę posadę przyrzekłem już komu innemu – powiedział dyrektor i wzrok mu się zachmurzył. – Zresztą, znasz moją zasadę: nigdy nie udzielam posad przez protekcję.

– Wiem, ale sądzę, że dla Niny Sergejewny można zrobić wyjątek. Kocha nas, jak bliskich krewnych, a myśmy dla niej jeszcze nic dobrego dotychczas nie zrobili. Nawet nie myśl o odmowie! Obraziłbyś swymi kaprysami i ją, i mnie.

– A kogóż ona poleca?

– Połzuchina.

– Jakiego Połzuchina? Tego, co na nowy rok grał w klubie rolę Czackiego! Tego dżentelmena? Za nic w świecie!

Dyrektor przestał jeść.

– Za nic w świecie! – powtórzył. – Niech Bóg broni!

– Ależ dlaczego?

– Zrozum, kochanie, że jeżeli młody człowiek działa przez kobiety a nie idzie sam prostą drogą, to jest marną figurą. Dlaczego sam do mnie nie przyjdzie?

Po obiedzie dyrektor położył się w swoim gabinecie na kanapie i zabrał się do czytania otrzymanych gazet i listów.

„Drogi Fiedorze Pietrowiczu – pisała mu żona burmistrza. – Powiedział pan kiedyś, że znam się na ludziach. Ma pan teraz okazję sprawdzić to w rzeczywistości. W tych dniach zwróci się do pana pewien K. N. Połzuchin z prośbą o posadę sekretarza; znam go, jako wzorowego młodego człowieka. Młodzieniec ten jest bardzo sympatyczny. Skoro się nim pan zajmie, przekona się itd."

– Za nic w świecie! – wyrzekł dyrektor. – Niech Bóg broni!

Odtąd nie było dnia, żeby dyrektor nie otrzymywał listów polecających Połzuchina. Pewnego pięknego poranku zjawił się i sam Połzuchin, tęgi młodzieniec, o wygolonej dżokejskiej twarzy, w nowym, czarnym garniturze.

– W sprawach służbowych przyjmuję nie tutaj, lecz w kancelarii – powiedział surowo dyrektor, wysłuchawszy jego prośby.

– Przepraszam, Ekscelencjo, ale nasi wspólni znajomi poradzili mi zwrócić się właśnie tutaj.

– Hm... – mruknął dyrektor, spoglądając z nienawiścią na ostre końce jego butów. – Jeżeli się nie mylę – powiedział – ojciec pański posiada majątek i pan nie jest w potrzebie, po cóż więc stara się pan o tę posadę. Przecież pensja mizerna.

– Nie ze względu na pensję, a tak... Jednak służba państwowa...

– Tak... Jestem pewny, że za miesiąc znudzi się panu to zajęcie i porzuci pan je, a tymczasem są kandydaci, dla których ta posada jest karierą na całe życie. Są biedacy, dla których...

– Nie znudzi się – przerwał Połzuchin. – Słowo daję, że będę się starał.

Dyrektor wybuchnął.

– Powiedz pan – spytał z pogardliwym uśmiechem – dlaczego nie zwrócił się pan wprost do mnie, lecz uważał pan za potrzebne trudzić damy.

– Nie wiedziałem, że sprawi to panu przykrość – odparł Połzuchin i zmieszał się. – Lecz, jeżeli pan nie przywiązuje wagi do listów polecających, to mogę przedstawić świadectwa.

Wydobył z kieszeni papier i podał go dyrektorowi. Pod świadectwem, napisany kancelaryjnym stylem i charakterem, był podpis gubernatora. Ze wszystkiego widać było, że gubernator podpisał, nie czytając, byle pozbyć się jakiejś natrętnej damy.

– Nie ma co, podporządkowuję się... słucham... – powiedział dyrektor, przeczytawszy świadectwo i westchnął. – Niech pan złoży jutro podanie – nie ma co...

Gdy Połzuchin odszedł, dyrektor poddał się całkowicie uczuciu.

– Wstrętna kanalia! – syczał, biegając z kąta w kąt. – A jednak dopiął swego, nędzny fagas, bawidamek! gadzina! Bydlę!

Dyrektor splunął głośno w kierunku drzwi, za którymi znikł Połzuchin, lecz zmieszał się nagle, gdyż do gabinetu jego wchodziła właśnie żona dyrektora izby skarbowej.

– Ja tylko na chwilkę, na chwileczkę... – zaczęła dama. – Siadajcie, kumie, i słuchajcie mnie uważnie... Otóż mówią, że u was wakuje posada. Dziś albo jutro będzie u was młody człowiek, niejaki Połzuchin...

Dama szczebiotała, dyrektor zaś spoglądał na nią mętnymi, osłupiałymi oczyma, jak człowiek bliski omdlenia, i uśmiechał się dla przyzwoitości.

A następnego dnia, przyjmując w kancelarii Wremienskiego, dyrektor długo nie mógł się zdobyć na to, by mu powiedzieć prawdę. Mieszał się, nie wiedział od czego zacząć, co powiedzieć. Chciał wytłumaczyć się przed nauczycielem, wyznać mu całą prawdę, ale język mu się plątał jak pijanemu, uszy płonęły i owładnęło nim nagle uczucie wstydu, upokorzenia, że zmuszony jest wobec podwładnego w własnej kancelarii grać taką głupią rolę. Uderzył nagle pięścią w stół, zerwał się i krzyknął z gniewem:

– Nie mam dla pana posady! Nie mam – i już! Daj mi pan spokój! Nie męcz mnie pan! Odczep się pan nareszcie ode mnie, z łaski swojej.

I wyszedł z kancelarii.

Wańka

Wańka Żuków, oddany przed trzema miesiącami do terminu do szewca Alochina, w wigilię Bożego Narodzenia nie kładł się spać. Doczekawszy czasu, kiedy majster i czeladnicy poszli na pasterkę, wydobył z majstrowej szafy flaszeczkę z atramentem, pióro z zardzewiałą stalówką i, położywszy przed sobą pomięty arkusz papieru, zaczął pisać.

Zanim nakreślił pierwszą literę, obejrzał się kilka razy trwożliwie na drzwi i okno, zerknął na pociemniały święty obraz, od którego w obie strony wzdłuż ścian ciągnęły się półki z kopytami, i westchnął przeciągle. Papier leżał na ławce, chłopiec zaś sam klęczał przed nią.

„Miły dziaduniu, Konstanty Makaryczu! – pisał. – Piszę do ciebie list. Ślę ci życzenia z okazji świąt Bożego Narodzenia wszystkiego najlepszego od Pana Boga. Nie mam ani ojca, ani matuli, tylko ty jeden mi zostałeś".

Wańka skierował wzrok na ciemne okno, w którym migotało odbicie jego świeczki, i jak żywy stanął mu przed oczyma dziadek, Konstanty Makarycz, który służył za nocnego stróża u państwa Żywarowych. Jest to drobny, chuderlawy, ale niezwykle żywy i ruchliwy staruszek lat sześćdziesięciu pięciu, z wiecznie uśmiechniętym i pijanym wzrokiem. Za nim, łeb opuściwszy, stąpa stara suka „Kasztanka" i pies „Piskorz", nazwany tak z powodu czarnej sierści i długiego, jak u łasicy, ciała. Ten „Piskorz", uniżony i łagodny, jednakowo uprzejmie patrzy na swoich i na obcych, ale nie cieszy się zaufaniem. Pod tą uniżonością i pokorą kryje się

jezuicka przewrotność w najwyższym stopniu. Nikt lepiej od niego nie potrafi podkraść się i capnąć za nogę, wleźć do lodowni albo ukraść chłopu kurę. Już niejednokrotnie podbijano mu tylne nogi, dwa razy go wieszano, co tydzień bito go prawie na śmierć, ale za każdym razem przychodził do siebie. Teraz dziadek na pewno stoi przed bramą, mruży oczy na jaskrawoczerwone okna cerkwi i przytupując wojłokowymi butami, gawędzi z czeladzią. Kołatka wisi mu u pasa. Klaszcze w ręce, zżyma się na chłód, starczo chichocze, szczypie to pokojówkę, to kucharkę.

– Tabaczki sobie zażyjemy, co? – mówi, podstawiając babom swoją tabakierkę.

Baby zażywają i kichają. Dziad wpada w niezwykły zachwyt, zanosi się od wesołego śmiechu i krzyczy:

– Odrywaj, przymarzło!

Dają powąchać tabaki psom. „Kasztanka" kicha, kręci mordą i obrażona, odchodzi. „Piskorz" przez szacunek nie kicha, lecz kręci ogonem. Pogoda zaś jest cudowna. Powietrze spokojne, przezroczyste, mroźne. Noc ciemna, ale widać dobrze całą wieś, jej białe dachy i smugi dymu unoszące się z kominów, drzewa posrebrzone szronem, grudy śniegu. Całe niebo zasiane wesoło migoczącymi gwiazdami, a drogę mleczną widać tak wyraźnie, jakby ją umyto na święta i wytarto śniegiem. Wańka westchnął, umoczył pióro i pisał dalej:

„...A wczoraj dostałem smarowanie. Majster wywlókł mnie za włosy na dwór i wysmarował pocięglem za to, że kołysząc dziecko, niechcący zasnąłem. W tygodniu majstrowa kazała mi oprawić śledzia, a gdy zacząłem od ogona, to wzięła główkę śledzia i tkała mi ją do gęby. Czeladnicy się ze mnie śmieją, posyłają do szynku po wódkę i każą kraść majstrowej ogórki. A majster bije, czym się zdarzy. I karmią tu okropnie. Rano dają chleba, na obiad –

kaszy, a wieczorem – też chleb, a żeby herbaty albo kapuśniaku, to gospodarze sami żłopią. Spać – to mi każą w sieni, a kiedy ich dzieciak płacze, to wcale nie śpię, tylko muszę go kołysać. Drogi dziaduniu, na miłość Boską, weź mnie stąd na wieś, bo już wcale nie mogę. Kłaniam się do nóg i będę wiecznie Boga prosił, zabierz mnie stąd, bo zamrę..."

Wańka wykrzywił usta, potarł oczy czarną piąstką i zaczął łkać.

„...Ja ci będę tytoń rozcierał – pisał dalej – do Boga będę się modlił, a gdy ci się co nie spodoba, to bij mnie, jak psa. A jeżeli myślisz, że dla mnie miejsca nie ma, to ja poproszę rządcę, żeby mnie wziął do czyszczenia butów albo zamiast Fiedźki, będę pastuszkiem. Dziaduniu drogi, nie ma tutaj innego wyjścia, tylko śmierć. Chciałbym pieszo uciec na wieś, ale butów nie mam, boję się mrozu. A jak wyrosnę duży, to za to będę cię żywił i nikomu nie dam cię skrzywdzić. A jak umrzesz, będę się modlił za spokój twojej duszy, wszystko jedno, jak za mamę Pelagię.

A Moskwa – miasto duże. Wszystkie domy pańskie i koni dużo, a owiec nie ma i psy nie są złe. A z kolędą tu nikt nie chodzi i na chór nikogo nie puszczają śpiewać, a raz w sklepie widziałem, że sprzedają haczyki razem z nitką i na wszelką rybę, bardzo dobre, nawet taki jest jeden haczyk, co pudowego suma utrzyma. I widziałem takie sklepy, co w nich strzelby sprzedają wszelakie w rodzaju takiej, jak ma nasz pan, tak, że może ze sto rubli kosztuje jedna. A w sklepach mięsnych i cietrzewie są, i jarząbki, i zające, ale kupcy tego nie powiedzą, gdzie na nie polują.

Drogi dziaduniu, a kiedy u państwa będzie choinka z podarunkami, to weź dla mnie złocony orzech i schowaj go do zielonej skrzynki. Poproś panienkę Olgę, powiedz, że dla Wańki".

Wańka konwulsyjnie westchnął i znowu utkwił wzrok w oknie. Przypomniał sobie, że zwykle po choinkę dla państwa chadzał

do lasu dziadek i brał ze sobą wnuka. Wesołe były czasy! Zwykle przed ścięciem choiny dziadek wypalał fajkę, długo zażywał tabakę i szydził sobie z przeziębłego Wańki... Młode jodły, otulone szronem, stoją nieruchomie i oczekują, która z nich ma umrzeć... Nagle, ni stąd, ni zowąd, mknie zając po śnieżnych grudach. Dziadek nie może się powstrzymać, by nie krzyknąć:

– Łapaj, łapaj... łapaj... ach, diabeł kusy!

Ściętą choinkę dziad ciągnął do dworu, a tam zaczynali ją ozdabiać... Najwięcej krzątała się panienka Olga, ulubienica Wańki. Za życia jego matki Pelagii, która służyła u państwa za pokojówkę, Olga dawała Wańce karmelki i nie mając co robić, nauczyła go czytać, pisać i liczyć do stu i nawet tańczyć kadryla. Po śmierci zaś Pelagii, sierotę Wańkę wyprawiono do kuchni czeladnej, do dziadka, a z kuchni – do Moskwy, do szewca Alochina...

„...Przyjeżdżaj, miły dziaduniu – pisał dalej Wańka. – Błagam cię na Pana Jezusa, weź mnie stąd. Zlituj się nade mną, sierotą nieszczęśliwym, bo tu mnie wszyscy biją i jeść mi się strasznie chce, a nudno tak, że wypowiedzieć nie umiem, ciągle tylko płaczę. A niedawno majster kopytem mnie po głowie uderzył tak, że upadłem i ledwom wstał... A jeszcze kłaniam się Alenie, ślepemu Jegorce i furmanowi, a harmonii mojej nikomu nie dawaj. Zostaję twój wnuk Iwan Żuków, miły dziaduniu, przyjeżdżaj".

Wańka złożył we czworo zapisany arkusz i włożył go do koperty, kupionej wczoraj za kopiejkę. Pomyślawszy trochę, umoczył pióro i napisał adres: „Na wieś do dziadunia".

Potem podrapał się w głowę i dodał: „Konstantemu Makaryczowi". Zadowolony, że mu nikt nie przeszkodził w pisaniu, włożył czapkę i nie narzucając na siebie kożuszka, w koszulinie tylko wybiegł na ulicę...

Subiekci ze sklepu mięsnego, których rozpytywał poprzedniego dnia, powiedzieli mu, że listy wrzuca się do skrzynek pocztowych, a ze skrzynek zostają rozwożone po całym kraju na trójkach pocztowych z pijanymi woźnicami i dźwięcznymi dzwonkami. Wańka dobiegł do pierwszej skrzynki pocztowej i wsunął cenny list do otworu. Ukołysany słodkimi nadziejami w godzinę później, spał mocno. Śnił mu się piec. Na piecu siedzi dziadek ze spuszczonymi bosymi nogami i czyta list kucharkom. Koło pieca chodzi „Piskorz" i kręci ogonem...

Malcy

– Włodek przyjechał! – krzyknął ktoś na dworze.

– Włodzio przyjechał! – pisnęła Natalia, wbiegając do jadalni.

– Ach, mój Boże!

Cała rodzina Korolewych, która z godziny na godzinę wyczekiwała swego Włodzia, rzuciła się do okien.

Przed gankiem stały szerokie sanie, trójka białych koni buchała kłębami pary. Sanie były puste, gdyż Włodzio stał już w sieni i czerwonymi od mrozu palcami rozwiązywał baszłyk. Jego gimnazjalne palto, czapka, kalosze i włosy na skroniach pokryte były szronem, a cała postać od stóp do głów wydawała taki smaczny, mroźny zapach, że patrząc nań, chciało się przemarznąć i zawołać: – „Brrr!" – Matka i ciotka rzuciły się na niego i poczęły go ściskać i całować. Natalia upadła mu do nóg i ściągała z nich walonki, siostry jęły świergotać, drzwi skrzypiały, a ojciec Włodka wpadł do przedpokoju tylko w kamizelce i z nożycami w ręku i krzyknął wystraszonym głosem:

– A myśmy cię jeszcze wczoraj oczekiwali! Czyś dobrze dojechał? Szczęśliwie? Ach, mój Boże, dajcież mu się z ojcem przywitać! Czyż nie jestem ojcem?

– Hau! hau! – ryczał basem „Milord", ogromne, tłuste psisko, uderzając ogonem o ściany i meble.

Wszystko zlało się w jeden radosny gwar, który trwał dwie minuty. Kiedy pierwszy wybuch radości przeszedł, Korolewowie spostrzegli, że prócz Włodka, znajduje się w przedpokoju jeszcze

jeden mały człowiek, otulony w chusty, szale i baszłyki i pokryty szronem; stał on nieruchomo w kącie w cieniu dużego lisiego futra.

– A to kto jest, Włodziu? – spytała szeptem matka.

– Ach! – spostrzegł się Włodzio. – To jest... mam zaszczyt przedstawić, mój kolega Czeczewicyn, uczeń drugiej klasy... Przywiozłem go ze sobą, jako gościa.

– Bardzo nam przyjemnie, prosimy serdecznie! – wyrzekł radośnie ojciec. – Przepraszam, że jestem po domowemu, bez surduta... Pozwól pan! Niech Natalia pomoże panu się rozebrać. Ach, mój Boże, zabierzcie stąd tego psa! Kara Boska!

Wkrótce potem Włodzio i jego przyjaciel, oszołomieni hałaśliwym przyjęciem i jeszcze różowi od zimna, siedzieli przy stole i pili herbatę. Zimowe słonko, przenikając przez śnieg, co się układał w desenie na szybach, drgało na samowarze i kąpało swe czyste promienie w mosiężnej miseczce do płukania szklanek. W pokoju było ciepło i chłopcy czuli, jak w ich przemarzniętych ciałach zmagało się wzajemne ciepło i zimno, nie chcąc sobie wzajem ustępować.

– Oto i Boże Narodzenie za pasem – mówił ojciec, skręcając papierosa z ciemnorudego tytoniu. – A tak niedawno było lato i matka płakała, żegnając się z tobą... Czas szybko leci. Ani się obejrzysz, jak starość przyjdzie. Panie Czybisow, niech pan je, proszę się nie krępować. U nas bez ceremonii.

Trzy siostry Włodzia – Katia, Sonia i Masza – najstarsza z nich miała lat jedenaście – siedziały przy stole i nie spuszczały oczu z nowego znajomego. Czeczewicyn był tego samego wieku i wzrostu, co i Włodek, lecz nie taki pucołowaty i biały, ale chudy, śniady i piegowaty. Włosy miał szczeciniaste, oczy – jak szparki, wargi – grube i w ogóle był bardzo brzydki i gdyby nie mundur gimnazjalny, można by, sądząc z powierzchowności, wziąć go

za syna kucharki. Był ponury, milczał cały czas i ani razu się nie uśmiechnął. Dziewczynki, patrząc na niego, od razu zmiarkowały, że musi to być bardzo mądry i uczony człowiek. Przez cały czas myślał o czymś i tak był tym zajęty, że gdy go o coś zapytywano, wzdrygał się, potrząsał głową i prosił, by powtórzono pytania.

Dziewczynki spostrzegły, że i Włodek, zwykle wesoły i rozmowny, tym razem mało mówił, wcale się nie uśmiechał i nawet zdawał się niezadowolony, że przyjechał do domu. Podczas herbaty zwrócił się do sióstr tylko jeden raz i to z jakimiś dziwnymi słowami. Wskazał palcem na samowar i powiedział:

– A w Kalifornii, zamiast herbaty, piją dżin.

Był również zajęty jakimiś myślami i, sądząc ze spojrzeń, jakie od czasu do czasu zamieniał z przyjacielem, myśli ich były wspólne. Po herbacie wszyscy udali się do dziecinnego pokoju. Ojciec z dziewczynkami usiedli przy stole i zajęli się robotą, przerwaną przez przyjazd chłopców. Robili ozdoby i łańcuchy z kolorowego papieru na choinkę. Było to pociągające i hałaśliwe zajęcie. Każdy nowy wykonany drobiazg dziewczynki witały okrzykami zachwytu, nawet przerażenia, jak gdyby ta rzecz spadła z nieba; ojczulek również się zachwycał i od czasu do czasu ciskał nożyce o podłogę, gniewając się, że są tępe.

Mamusia wpadała do dziecinnego pokoju, zakłopotana, i zapytywała:

– Kto wziął moje nożyczki? To znów ty je wziąłeś, Iwanie Mikołajewiczu.

– Boże drogi, nawet nożyczek nie dadzą! – odpowiadał płaczliwym głosem Iwan Mikołajewicz – i odchyliwszy się na oparcie krzesła, przybierał pozę człowieka skrzywdzonego, ale po chwili zachwycał się znowu.

Podczas swych poprzednich przyjazdów Włodek również brał udział w przygotowaniach do choinki lub też wybiegał na dwór popatrzeć, jak furman z pastuchem usypują śnieżną górę, lecz teraz ani on, ani Czeczewicyn nie zwracali żadnej uwagi na różnokolorowy papier i nie byli ani razu w stajni, lecz usiedli przy oknie i zaczęli ze sobą coś szeptać, potem otworzyli atlas i oglądali jakąś mapę.

– Z początku do Permu... – mówił cicho Czeczewicyn – stamtąd do Tiumeni... potem Tomsk... potem... potem... do Kamczatki. Stamtąd Samojedzi przewiozą nas łódkami przez Cieśninę Beringa... Oto i Ameryka... Tutaj jest dużo zwierzyny.

– A Kalifornia? – spytał Włodek.

– Kalifornia jest niżej... Trzeba się tylko do Ameryki dostać, to Kalifornia już blisko. Pożywienie zdobywać sobie można polowaniami i grabieżą.

Czeczewicyn stronił cały dzień od dziewczynek i spoglądał na nie spode łba. Po podwieczorku przypadkowo pozostał sam z niemi przez parę minut. Nie wypadało milczeć. Chrząknął więc poważnie, potarł prawą dłonią lewą rękę, spojrzał ponuro na Katię i spytał:

– Czy panienka czytała Mayne-Reida?

– Nie, nie czytałam... Czy pan się ślizga?

Pochłonięty swymi myślami Czeczewicyn nic nie odpowiedział na to pytanie, lecz wydął policzki i westchnął, jakby mu było bardzo gorąco. Jeszcze raz podniósł wzrok na Katię.

– Kiedy stado bizonów pędzi przez pampasy, ziemia drży, a wówczas mustangi wierzgają i rżą z przerażenia.

Uśmiechnął się smutnie, po czym dodał:

– Również Indianie napadają na pociągi. Ale najgorsze – to moskity i termity.

– A to co takiego?

– To coś w rodzaju mrówek, tylko skrzydlatych. Bardzo mocno kąsają. Czy pani wie, kto ja jestem?

– Pan Czeczewicyn.

– Nie! Jestem Montigomo Szpon Jastrzębi, wódz niezwyciężonych.

Zupełnie niezrozumiałe słowa Czeczewicyna, jego ciągłe ciche rozmowy z Włodkiem i ta okoliczność, że Włodzio wcale się nie bawi z siostrami, lecz wciąż o czymś rozmyśla – wszystko to wydawało się dziwne i zagadkowe. Toteż obie starsze dziewczynki, Katia i Sonia, zaczęły pilnie śledzić chłopców. Wieczorem, gdy obydwaj kładli się spać, dziewczynki podkradły się pode drzwi i podsłuchały ich rozmowy. Och! Czego się dowiedziały!

Chłopcy chcieli uciec gdzieś do Ameryki poszukiwać złota; mieli już wszystko gotowe: pistolet, dwa noże, suchary, szkło powiększające, by rozniecać nim ogień, kompas i cztery ruble. Dowiedziały się, że będą musieli przejść pieszo kilka tysięcy wiorst, walczyć po drodze z tygrysami i z dzikimi, potem zdobywać złoto i kość słoniową, zabijać wrogów, brać udział w wyprawach korsarskich, pić dżin i w końcu pojąć za żonę jakąś piękność i uprawiać plantacje. Włodek i Czeczewicyn mówili z uniesieniem i przerywali sobie wzajemnie. Przy tym siebie nazywał Czeczewicyn: „Montigomo, Jastrzębi Szpon", a Włodzia – „mój bladolicy brat".

– Tylko nie mów nic mamie – powiedziała Katia Soni, idąc spać. – Włodek przywiezie nam z Ameryki złota i słoniowej kości, a jak powiesz mamie, to go nie puszczą.

W przeddzień wigilii Czeczewicyn cały dzień studiował mapę Azji i coś zapisywał. Włodek, smętny, jakby go coś ukąsiło, ponuro chodził po pokojach i nic nie jadł. Raz nawet zatrzymał się przed ikoną, przeżegnał się i powiedział:

– Boże, wybacz mnie grzesznemu! Boże, zachowaj moją biedną, nieszczęśliwą mamę!

Przed wieczorem rozpłakał się. Idąc spać, długo ściskał ojca, matkę i siostry, Katia i Sonia wiedziały, co to ma znaczyć, ale najmłodsza, Masza, nic nie rozumiała.

Wczesnym rankiem w dzień wigilijny Katia i Sonia wstały cicho i poszły zobaczyć, jak chłopcy będą uciekali do Ameryki. Podkradły się pode drzwi.

– Więc nie pojedziesz? – z gniewem pytał Czeczewicyn. – Mów, nie pojedziesz?

– Boże – cicho szlochał Włodek. – Jakże pojadę? Żal mi mamy.

– Bladolicy bracie mój, proszę cię, jedźmy! Zapewniałeś mnie przecież, że pojedziesz, sam mnie namówiłeś, a jak przyszło do jazdy – toś stchórzył.

– Ja... ja nie stchórzyłem, ale mnie... żal mamy.

– Powiedz, pojedziesz, czy nie?

– Pojadę, tylko... zaczekaj. Chce mi się pobyć w domu.

– W takim razie, jadę sam! – zdecydował Czeczewicyn. – I bez ciebie się obejdę. A jeszcze chciałeś walczyć, polować na tygrysy. Jeżeli tak, to daj mi moje kapiszony!

Włodek zapłakał tak gorzko, że siostry nie wytrzymały i również cicho zapłakały. Nastąpiło milczenie.

– Więc nie pojedziesz? – jeszcze raz spytał Czeczewicyn.

– Po... pojadę.

– To ubieraj się.

I Czeczewicyn, żeby zachęcić Włodka, wychwalał Amerykę, ryczał, jak tygrys, naśladował parostatek, klął, obiecywał oddać Włodkowi całą kość słoniową i wszystkie skóry lwie i tygrysie.

I ten chudy, śmiały chłopak o szczeciniastych włosach i piegowatej twarzy wydał się dziewczynkom czymś osobliwym

i niezwykłym. To był bohater, stanowczy, nieustraszony człowiek, a ryczał tak, że stojąc za drzwiami, można było rzeczywiście pomyśleć, że to tygrys albo lew.

Kiedy dziewczynki wróciły do swego pokoju i zaczęły się ubierać, Katia z oczami pełnymi łez powiedziała:

– Ach, jak ja się boję!

Aż do drugiej godziny, to jest do obiadu, wszystko było spokojnie, ale podczas obiadu spostrzeżono nagle, że chłopców nie ma w domu. Posłano do czeladnej, do stajni, do oficyny rządcy – nigdzie ich nie było. Posłano na wieś, lecz i tam ich nie znaleziono. Herbatę też pito bez chłopców, a kiedy siadano do kolacji, mamusia niepokoiła się bardzo i nawet płakała. W nocy znów urządzono wyprawę na wieś, szukano nad rzeką z latarniami. Boże drogi, jakie się zrobiło zamieszanie!

Na drugi dzień przyjechał strażnik, pisano w jadalni jakiś papier. Mama płakała.

Lecz oto przed gankiem zatrzymały się sanie, a z trójki białych koni buchała para.

– Włodek przyjechał! – krzyknął ktoś na dworze.

– Włodeczek przyjechał! – zaczęła piszczeć Natalia, wpadając do stołowego.

„Milord" zaszczekał basem – hau! hau! – Okazało się, że chłopców zatrzymano w mieście przy kramach miejskich (chodzili tam i rozpytywali, gdzie można dostać prochu). Włodek, gdy tylko wszedł do przedpokoju, zaszlochał i rzucił się na szyję matce. Dziewczynki z dreszczem przerażenia myślały o tym, co teraz będzie; słyszały, jak ojciec zaprowadził Włodzia i Czeczewicyna do swego gabinetu i długo rozmawiał z nimi; mamusia też mówiła i płakała.

– Czy to tak wolno? – upominał ojciec. – Dowiedzą się, nie daj Boże, w gimnazjum i wyrzucą was. Wstyd, panie Czeczewicyn!

Niełądnie! To pan wymyślił, spodziewam się też, że rodzice ukarzą pana. Czy tak się robi? Gdzieście nocowali?

– Na dworcu! – z dumą odpowiedział Czeczewicyn.

Włodek potem leżał w łóżku i przykładano mu do głowy ręcznik, zmoczony w occie. Posłano gdzieś telegram, a następnego dnia przyjechała matka Czeczewicyna i zabrała swego syna.

Kiedy odjeżdżał, miał twarz surową, wyniosłą i żegnając się z dziewczynkami, nie rzekł ani słowa; wziął tylko zeszyt od Kati i napisał na pamiątkę:

„Montigomo Szpon Jastrzębi".

W razurze

Poranek. Nie ma jeszcze siódmej, a razura Makara Kuzmicza Blestkina już jest otwarta. Gospodarz, dwudziestotrzyletni młody człowiek, nieumyty, zatłuszczony, ale ubrany pretensjonalnie, sprząta swój zakład. Nie ma właściwie co sprzątać, a jednak spocił się przy pracy. Tam ścierką wytrze, owdzie paznokciem zeskrobie albo gdzie pluskwę znajdzie i strąci ją na podłogę.

Razura – maleńka, ciasna, obskurna. Ściany z desek oklejone są tapetami, przypominającymi wyblakłą koszulę dorożkarską. Między parą zamglonych, łzawiących okien – cienkie, skrzypiące drzwi, nad nimi pozieleniały od wilgoci dzwonek, który sam przez się, bez żadnej zewnętrznej przyczyny, drga i dźwięczy chorobliwie. A jeśli kto spojrzy w lustro, wiszące na jednej ze ścian, to twarz jego odbije się w nim powykrzywiana na wszystkie strony w najohydniejszy sposób. Przed tym lustrem strzygą i golą.

Na stoliku, tak samo nieumytym i zatłuszczonym, jak sam Makar Kuzmicz, znajduje się wszystko: grzebienie, nożyce, brzytwy, za kopiejkę fiksatuaru, za kopiejkę pudru i za kopiejkę mocno rozcieńczonej wody kolońskiej. I cała razura nie warta jest więcej, jak piętnaście kopiejek.

Nad drzwiami rozlega się skrzeczenie chorego dzwonka i do razury wchodzi starszy mężczyzna w kożuchu i wojłokowych butach. Głowa i szyja jego owinięte są w kobiecą chustkę.

Jest to Erast Iwanycz Jagodow, ojciec chrzestny Makara Kuzmicza. Służył kiedyś za stróża w konserwatorium, teraz mieszka koło Czerwonego Stawu i zajmuje się ślusarką.

– Dzień dobry, Makarku – mówi do Makara Kuzmicza, zajętego sprzątaniem.

Całują się. Jagodow zdejmuje z głowy chustkę, robi znak krzyża i siada.

– Jakiż to kawał drogi – mówi, postękując. – Od Czerwonego Stawu do Kołużskiej Bramy – to nie żart!

– Jak się macie?

– Źle, bracie, miałem gorączkę.

– Co mówicie? Gorączkę?

– Gorączkę. Cały miesiąc leżałem, myślałem, że umrę. Przyjąłem Święte Sakramenty. Teraz włosy wypadają. Doktór kazał się ostrzyc. Na nic, powiada, wyrosną mocne. Więc – pomyślałem sobie – pójdę do Makara. Zamiast do kogo innego, to lepiej do krewniaka. I lepiej zrobi, i pieniędzy nie weźmie. Trochę, prawda, daleko, ale co to znaczy? Jakby spacer.

– Ja z przyjemnością. Proszę!

Makar Kuzmicz ukłonił się nogą i wskazał na krzesło.

Jagodow siada i przygląda się w lustrze: jest zupełnie zadowolony z widoku – w lustrze widać krzywą gębę z tępym szerokim nosem i oczami na czole. Makar Kuzmicz okrywa ramiona swego klienta białym prześcieradłem.

– Ja was zupełnie, do gołej skóry – mówi.

– Naturalnie, żebym do Tatara był podobny.

– Ciotunia jak się ma?

– Dobrze, żyje sobie. Niedawno u majorowej przy porodzie była. Zapłacili rubla.

– Taaak... rubel. Potrzymajcie ucho.

– Trzymam... Nie obetnij mi tylko ucha. Oj, boli! Ty mnie za włosy szarpiesz.

– To nic. Bez tego się przy naszej robocie nie obejdzie. A jak się ma Anna Erostowna?

– Córka? Dobrze. W przeszłym tygodniu, w środę, wyswataliśmy ją za Szejkina. Dlaczegoś nie przyszedł?

Nożyce przestają skrzypieć, Makar Kuzmicz opuszcza ręce i przerażony, pyta:

– Kogoście wyswatali?

– Annę.

– To jest co? Za kogo?

– Za Szejkina, Prokopa Pietrowa. Ciotka jego w Złotoustinskim zaułku służy za gospodynię. Porządna kobieta. Naturalnie, wszyscy jesteśmy zadowoleni. Za tydzień wesele. Przyjdź!

– Ależ, co to jest, Eraście Iwanyczu? – mówi Makar Kuzmicz, blady, zmieszany – Czyż to możebne? To... jest zupełnie niemożliwe. Przecież Anna Erastowna... przecież ja... przecież ja dla niej uczucia żywiłem, miałem zamiar... Co to takiego?

– Zwyczajnie. Wzięliśmy i wyswatali. Porządny człowiek.

Na twarz Makara Kuzmicza występuje zimny pot. Kładzie nożyce na stół i zaczyna trzeć sobie pięścią nos.

– Miałem zamiar – powiada. – To jest niemożliwe, Eraście Iwanyczu! Jestem zakochany i oświadczyny serca zrobiłem. Ciotunia obiecała. Szanowałem was jak ojca... strzygę was zawsze darmo. Zawsze wam oddawałem usługi i kiedy ojciec mój umarł, wzięliście sofę i dziesięć rubli i nie oddaliście mi. Pamiętacie?

– Dlaczego nie mam pamiętać? – Pamiętam! Ale co ty, Makarze, jesteś za konkurent? Czyś ty konkurent? Ani pieniędzy, ani stanowiska, rzemiosło marne...

– A Szejkin bogaty?

– Szejkin jest artelszczykiem. Ma złożonej kaucji tysiąc pięćset rubli. Tak, bracie... Gadaj, nie gadaj, a rzecz już załatwiona. Cofnąć

nie można. Makarku. Poszukaj sobie innej narzeczonej... Świat się nie kończy... No, strzyż! Czemuś się zatrzymał?

Makar Kuzmicz milczy i stoi nieruchomy. Potem wyjmuje z kieszeni chusteczkę i zaczyna płakać.

– No, czego!? – uspakaja go Erast Iwanycz. – Daj spokój! Płacze jak baba. Bierz nożyce!

Makar Kuzmicz bierze nożyce, przez chwile patrzy na nie bezmyślnie, i opuszcza na stół. Ręce mu się trzęsą.

– Nie mogę – mówi. – Nie mogę teraz. Sił mi brak. Nieszczęsny ze mnie człowiek. I ona nieszczęśliwa. Kochaliśmy się, daliśmy sobie słowo, a źli ludzie rozłączyli nas bez żadnej litości. Idźcie sobie, Eraście Iwanyczu! Nie mogę na was patrzeć.

– To ja jutro przyjdę, Makarku. Jutro dostrzyżesz.

– Dobrze.

– Uspokój się, a ja do ciebie jutro wcześnie przyjdę.

Połowa głowy Erasta Iwanycza wystrzyżona jest do skóry tak, że przypomina kajdaniarza. Nieprzyjemnie jest pozostawać z taką głową, ale co robić? Zawija głowę i szyję w chustkę i wychodzi z razury.

Zostawszy sam, Makar Kuzmicz siada i cicho płacze.

Następnego dnia bardzo wcześnie przychodzi Erast Iwanycz.

– Czego pan sobie życzy? – zapytuje go ozięble Makar Kuzmicz.

– Dostrzyż mnie, Makarku, pół głowy jeszcze zostało.

– Proszę pieniędzy z góry. Darmo nie strzygę.

Erast Iwanycz, nie powiedziawszy ani słowa, odchodzi i jeszcze dotychczas na jednej połowie jego głowy włosy są długie, a na drugiej – krótkie. Strzyżenie się za pieniądze uważa za zbytek i czeka aż na ostrzyżonej połowie głowy włosy odrosną.

Tak też paradował i na weselu.

Dramat

– Pawle Wasiliczu, tam jakaś dama pana prosi – zameldował Łukasz. – Czeka już całą godzinę.

Paweł Wasilicz był dopiero co po śniadaniu. Usłyszawszy o damie, skrzywił się i powiedział:

– Pal ją diabli! Powiedz, że jestem zajęty.

– Ona już piąty raz przychodzi. Mówi, że bezwarunkowo musi się z panem zobaczyć... Prawie że płacze.

– Hm... niech będzie, poproś ją do gabinetu.

Paweł Wasilicz, nie śpiesząc się, włożył tużurek, wziął do jednej ręki pióro, do drugiej – książkę i udając, że jest bardzo zajęty, poszedł do gabinetu. Tam oczekiwał go już gość – wysoka, tęga kobieta, o czerwonej twarzy, w okularach, o bardzo poważnym wyrazie twarzy, ubrana więcej niż przyzwoicie. Ujrzawszy gospodarza, wzniosła oczy i złożyła ręce, jak do modlitwy.

– Pan, naturalnie, mnie nie pamięta – zaczęła wysokim męskim tenorem, widocznie zakłopotana – ja... ja miałam przyjemność poznać pana u Chruckich... Jestem Muraszkina...

– A-a-a... m-m... Proszę siadać. Czym mogę pani służyć?

– Ja, ja... widzi pan – ciągnęła dalej dama, siadając i zdradzając jeszcze większe zakłopotanie. – Jestem Muraszkina... Jestem, widzi pan, wielką wielbicielką pańskiego talentu i zawsze z rozkoszą czytam pańskie rozprawy. Niech pan nie sądzi, że mu schlebiam – broń Boże! – oddaję mu tylko, co należy. Czytam pana ciągle, ciągle... Po części i mnie samej nie jest obce autorstwo... rozumie się, ja nie śmiem siebie nazywać literatką, ale i moja kropla miodu jest

w ulu. Drukowałam w ciągu pewnego czasu trzy powiastki dla dzieci – pan, rozumie się, ich nie czytał... Tłumaczyłam dużo i... mój nieboszczyk brat był współpracownikiem miesięcznika „Dieło".

– Hm... tak... Czym mogę służyć?

– Widzi pan... – Muraszkina spuściła oczy i zarumieniła się. – Znam pański talent i pańskie poglądy i chciałabym usłyszeć pańskie zdanie albo raczej... zasięgnąć rady. Trzeba panu wiedzieć, że pardon pour l'expression, spłodziłam dramat i nim poślę go do cenzury, chciałabym usłyszeć pańską opinię... – Twarz Muraszkinej przypominała schwytanego ptaka, przy czym nieznajoma dama nerwowo poszperała w swojej sukni i wydobyła duży, gruby zeszyt.

Paweł Wasilicz lubił tylko swoje artykuły, cudze zaś, które miał przeczytać albo których musiał słuchać, sprawiały na nim wrażenie lufy armatniej, skierowanej wprost na jego fizjonomię. Ujrzawszy zeszyt, przeraził się i rzekł pośpiesznie:

– Dobrze... niech pani zostawi... przeczytam.

– Pawle Wasiliczu – powiedziała Muraszkina, podnosząc się i składając błagalnie dłonie jak do modlitwy... – Wiem, że pan jest zajęty, że każda chwila pańska jest droga, wiem też, że w duszy posyła mnie pan do diabła, ale... bądź pan dobry i pozwól, że mu przeczytam swój dramat zaraz. Bądź pan uprzejmy...

– Bardzo jestem rad – zaciął się Paweł Wasilicz – ale szanowna pani... jestem zajęty. Muszę zaraz, wyjechać.

– Pawle Wasiliczu – jęknęła dama i oczy jej zaszły łzami. – O ofiarę proszę! Jestem natarczywa, natrętna, ale bądź pan wspaniałomyślny. Jutro wyjeżdżam do Kazania i chciałabym dziś wiedzieć pańskie zdanie. Ofiaruj mi pan pół godziny uwagi... tylko pół godziny... Błagam pana!

Paweł Wasilicz był w gruncie ciapą i nie umiał odmawiać. A że w dodatku wydało mu się, że dama ma zamiar rozbeczeć się i paść na kolana, zmieszał się i wybełkotał w roztargnieniu:

– Dobrze... niech już będzie... posłucham. Pół godziny – jestem gotów.

Muraszkina wydała okrzyk radosny, zdjęła kapelusz i rozsiadłszy się, zaczęła czytać. Na wstępie przeczytała o tym, jak lokaj i pokojówka, sprzątając wspaniały salon, długo rozmawiali o panience Annie Sergiejewnie, która założyła we wsi szkołę i szpital. Po wyjściu lokaja, pokojówka wypowiedziała długi monolog o znaczeniu oświaty, potem Muraszkina sprowadziła na nowo lokaja do salonu i kazała mu wyrecytować duży monolog o panu generale, który nie uznaje przekonań córki, chce ją wydać za bogatego szambelana, uważa bowiem, iż ciemnota jest zbawieniem ludu. Po wyjściu pokojówki, zjawia się sama panienka i oznajmia widzowi, że nie spała całą noc, myśląc o Walentym Iwanowiczu – synu biednego nauczyciela, który pomaga bezinteresownie choremu ojcu, Walenty posiadł wszystkie nauki, ale nie wierzy ani w przyjaźń, ani w miłość, nie widzi celu w życiu i pożąda śmierci – dlatego też panienka musi go uratować.

Paweł Wasilicz słuchał i z utęsknieniem wspominał swoją kanapę. Z nienawiścią patrzył na Muraszkinę, czuł, jak jej męski tenor wali jego bębenki uszne, nic nie rozumiał i myślał:

...Licho cię przyniosło... Bardzo mi się chce słuchać twoich bzdur... Ale co ja jestem winien, żeś napisała dramat. Boże święty! jaki gruby zeszyt! Kara Boska...

Paweł Wasilicz spojrzał na ścianę, gdzie wisiał portret żony, przypomniał sobie, że mu żona kazała kupić i przywieźć ze sobą na letnisko pięć arszynów tasiemki, funt sera i proszku do zębów.

...Żebym tylko nie zgubił próbki tasiemki – myślał – gdzie ją ja wpakowałem? Zdaje się, do granatowej marynarki... A, przeklęte muchy – zdążyły już popstrzyć portret żony. Trzeba będzie kazać obmyć szkło... Czyta scenę XII, więc wkrótce koniec pierwszego aktu. Czyż przy takim cielsku możliwe jest natchnienie... Co za upał!

– Czy pan nie uważa, że ten monolog jest trochę za długi? – spytała nagle Muraszkina, wznosząc oczy.

Paweł Wasilicz nie słyszał monologu. Zmieszał się i wyrzekł takim skruszonym głosem, jak gdyby nie dama, lecz on sam napisał dramat.

– Nie, wcale nie... bardzo sympatycznie.

Muraszkina zapłonęła z radości i czytała dalej.

– „*Anna*: Pana strawiła analiza. Za wcześnie przestał pan żyć sercem i zaufał rozumowi.

Walenty: Co to jest serce? Jest to pojęcie anatomiczne. Nie uznaję go, jako symbol tego, co nazywamy uczuciem.

Anna (zmieszana): A miłość? Czyż i ona jest wytworem skojarzenia wyobrażeń? Powiedz pan otwarcie, kochał pan kiedy?

Walenty (z goryczą): Nie będziemy jątrzyć dawnych ran! Nad czym się pani zamyśliła?

Anna: Zdaje mi się, że pan jest nieszczęśliwy".

Podczas szesnastej sceny Paweł Wasilicz ziewnął i niechcący wydał taki dźwięk, jaki wydają psy przy łapaniu much. Zląkł się tego nieprzyzwoitego dźwięku i by go zamaskować, nadał swej twarzy wyraz współczującej uwagi.

...Scena siedemnasta... Kiedyż nareszcie koniec – myślał. – Boże drogi! Jeżeli ta męczarnia potrwa jeszcze dziesięć minut, to krzyknę na trwogę. Nie do zniesienia!

Ale oto dama zaczęła czytać prędzej i głośniej, podniosła głos i przeczytała:

– „Kurtyna spada”.

Paweł Wasilicz z lekka westchnął i chciał już wstać, ale Muraszkina błyskawicznie przewróciła stronicę i czytała dalej:

– „Akt drugi. Scena przedstawia wiejską ulicę. Na prawo – szkoła, na lewo – szpital. Na schodach szpitala siedzą włościanie i włościanki...”

– Przepraszam – przerwał Paweł Wasilicz – ile jest wszystkich aktów?

– Pięć – odpowiedziała Muraszkina i natychmiast, jakby się bała, żeby słuchacz nie uciekł, ciągnęła dalej: – „Z okna szkoły wygląda Walenty. Widać, jak w głębi sceny włościanie niosą swój dobytek do karczmy”.

Jak skazany na śmierć i przekonany o niemożliwości ułaskawienia, Paweł Wasilicz już nie oczekiwał końca, nie spodziewał się niczego i tylko robił wysiłki, by mu się powieki nie zamknęły i by nie znikł z twarzy wyraz uwagi. Przyszłość, kiedy dama skończy dramat i pójdzie, wydawała mu się tak daleką, że nawet nie myślał o niej.

Tru-tru-tru-tru... – dźwięczał w jego uszach głos Muraszkinej. – Tru-tu-tu... Ż-ż-ż-ż...

...Zapomniałem zażyć sody – myślał. – O czym to? A, o sodzie... Prawdopodobnie mam katar żołądka... Dziwna rzecz. Smirnowski cały dzień wódkę trąbi i dotychczas nie ma kataru żołądka... Na oknie siadł jakiś ptaszek... Wróbel...

Paweł Wasilicz zrobił wysiłek, by otworzyć zamykające się powieki, ziewnął, nie otwierając ust, i spojrzał na Muraszkinę. Wydała mu się jakby we mgle, chwiała się w jego oczach i sięgała głową sufitu.

– „*Walenty*: Nie, pozwól mi pani odjechać”.

Anna (przerażona): Po co?

Walenty (na stronie): Ona zbladła! (Do niej): Nie zmuszaj mnie do wyłuszczania przyczyn. Umrę prędzej, a nie dowie się pani przyczyny.

Anna (po pauzie): Pan nie może odjechać.

Muraszkina zaczęła się powiększać, nabrzmiała do ogromnych rozmiarów i zlała się z szarym tłem gabinetu: widać było tylko jej poruszające się usta, potem nagle stała się maleńką, zachwiała się i razem ze stołem znikła w głębi pokoju.

– „*Walenty* (trzymając w objęciach Annę): Tyś mnie wskrzesiła, wskazała mi cel życia! Tyś mnie odświeżyła, jak wiosenny deszcz odświeża rozbudzoną ziemię! Lecz za późno, za późno. Pierś mą pożera nieuleczalna choroba..."

Paweł Wasilicz drgnął i utkwił osowiały, mętny wzrok w Muraszkinej, przez chwilę, patrzył jakby skamieniały, nic nie rozumiejąc.

– „Scena jedenasta. Ciż sami, baron, komisarz i świadkowie.

Walenty: Bierzcie mnie.

Anna: Należę do niego. Bierzcie mnie! Tak, bierzcie i mnie. Ja kocham go, kocham nad życie.

Baron: Anno Sergejewno, nie zapominaj, że gubisz tym swego ojca".

Muraszkina znowu poczęła nabrzmiewać... Paweł Wasilicz z dzikiem wejrzeniem zerwał się z miejsca, z piersi wydarł mu się niesamowity okrzyk, schwycił ze stołu ciężki przycisk i tracąc przytomność, z całej siły uderzył nim w głowę Muraszkinej.

– Wiążcie mnie! zabiłem ją! – powiedział po chwili do służby, która nadbiegła.

Przysięgli go uniewinnili...

Wykrzyknik

W wigilię Bożego Narodzenia urzędnik Pierekładin położył się spać, obrażony i przygnębiony.

– Odczep się, zły duchu! – krzyknął na żonę, gdy go spytała, czemu jest taki pochmurny.

Pochodziło to zaś stąd, że właśnie wrócił z towarzystwa, gdzie usłyszał wiele dla siebie nieprzyjemnych i krzywdzących rzeczy.

Początkowo mówiono o pożytku oświaty w ogóle, potem niepostrzeżenie rozmowa przeszła na stopień wykształcenia urzędników, przy czym wypowiedziano wiele uwag i nawet drwinek z powodu niskiego stanu tego wykształcenia. I tu, jak to zwykle bywa w rosyjskich kompaniach, od kwestii ogólnych zwrócono się wkrótce do osobistych.

– Weźmy, na przykład, pana – zwrócił się do Pierekładina pewien młodzieniec. – Pan zajmuje porządne stanowisko, a jakie pan otrzymał wykształcenie?

– Żadnego. Od nas nawet nie wymaga się wykształcenia – krótko odpowiedział Pierekładin. – Wystarczy pisać poprawnie – oto wszystko!

– A gdzie się pan nauczył pisać poprawnie?

– Przyzwyczaiłem się... Przez czterdzieści lat pracy można nabrać wprawy. Naturalnie z początku było trudno, robiłem błędy, ale potem przyzwyczaiłem się... i nic.

– A znaki przestankowe?

– I znaki przestankowe... prawidłowo stawiam.

– Hm... – zmieszał się młodzieniec. – Ale przyzwyczajenie, to niezupełnie to samo, co wykształcenie. Nie dość, że pan stawia prawidłowo znaki przestankowe... nie dość! Trzeba je stawiać świadomie! stawia pan przecinek – i musi pan wiedzieć, po co go pan stawia. A ta wasza nieświadoma ortografia – grosza niewarta. Jest to robota mechaniczna – i nic więcej.

Pierekładin zamilkł i nawet uśmiechnął się łagodnie (młodzieniec był synem radcy stanu), ale teraz, kładąc się spać, pełen był oburzenia i gniewu.

...Czterdzieści lat służyłem – myślał – i nikt mnie głupcem nie nazywał, a teraz, patrzcie, jacy się krytycy znaleźli!... Nieświadomie... odruchowo... Robota mechaniczna... Ach, pal cię diabli, ja może jeszcze lepiej od ciebie rozumiem, chociaż w twoich uniwersytetach nie byłem...

Wylawszy w myśli na swego krytyka cały zapas znanych mu wymysłów i ogrzawszy się pod kołdrą, Pierekładin zaczął się powoli uspokajać.

...Wiem, rozumiem... – myślał, zasypiając. – Nie postawię dwukropka, gdzie potrzebny jest przecinek, więc rozumiem. Tak... Tak, młodzieńcze!

Trzeba przedtem pożyć na świecie, pourzędować, a potem dopiero sądzić starszych... Przed zamkniętymi oczyma zasypiającego Pierekładina przez tłum ciemnych uśmiechających się obłoków, jak meteor, przeleciał ognisty przecinek... Za nim – drugi, trzeci i wkrótce całe bezgraniczne tło, rozpostarte przed jego wyobraźnią, pokryło się gęstymi tłumami latających przecinków...

...Wziąć chociażby przecinek – myślał Pierekładin, czując słodkie odrętwienie we wszystkich członkach przy zasypianiu. – Ja je doskonale rozumiem... Dla każdego mogę miejsce znaleźć, jeżeli chcesz... i... świadomie, a nie tak na chybił, trafił. Egzaminuj,

a zobaczysz... Przecinki stawia się w różnych miejscach, gdzie trzeba i gdzie nie trzeba. Im bardziej zawikłany papier – tym więcej wymaga przecinków. Stawia je się przed „który" i przed „że". Jeżeli w papierze są wyliczeni urzędnicy, to każdego z nich należy oddzielić przecinkiem... Wiem!

Złote przecinki zakręciły się i znikły...

...A kropkę stawia się w końcu papieru... Gdzie trzeba zrobić dużą przerwę i spojrzeć na słuchacza – tam również kropkę. Po wszystkich długich ustępach trzeba postawić kropkę, by się sekretarz nie zaślinił, gdy będzie czytał. Więcej nigdzie się kropki nie stawia...

Znowu nadciągają przecinki. Mieszają się z kropkami, kręcą się... i Pierekładin widzi całe tłumy średników i dwukropków...

...I te znam... – myślał. – Gdzie przecinek jest za mało, a kropka – za dużo, tam się stawia średnik. Przed „ale" i „więc" stawia się średnik... A dwukropek? Dwukropek stawia się po słowach – „postanowiono", „zdecydowano"...

Średniki i dwukropki zgasły. Przyszła kolej na znaki zapytania. Wyskoczyły z obłoków i zaczęły tańczyć...

...Wielka rzecz – znak zapytania. Nawet dla tysiąca miejsce znajdę. Stawia się je wtedy, gdy się o coś zapytuje... „Na co zostały przeznaczone pozostałe sumy z zeszłego roku?" albo: „Czy urząd policyjny nie uzna za właściwe ową Iwanową" itd.

Znaki zapytania potakująco poruszyły swymi haczykami i nagle, jakby na komendę, wyciągnęły się w wykrzykniki...

...Hm... Ten znak przestankowy używany jest często w listach. „Szanowny Panie!" albo: „Wasza Ekscelencjo, ojcze i dobroczyńco!". A w papierach kiedy? – Wykrzykniki jeszcze się więcej wyciągnęły i stanęły w oczekiwaniu. – W papierach stawia się je... kiedy... tego... hm. Rzeczywiście, kiedy się je stawia w papierach? Poczekaj... muszę sobie przypomnieć... Hm!...

Pierekładin otworzył oczy i przewrócił się na drugi bok. Ale nie zdążył jeszcze ponownie zamknąć oczu, kiedy na ciemnym tle znowu zjawiły się wykrzykniki.

...Niech je diabli porwą... Kiedy należy stawiać wykrzykniki? – pomyślał, starając się usunąć ze swej wyobraźni nieproszonych gości. – Czyżbym zapomniał? Albo zapomniałem, albo ich nigdy nie stawiałem...

Pierekładin zaczął sobie przypominać treść wszystkich papierów, które napisał w przeciągu czterdziestu lat służby, ale mimo wysiłków myśli i pomarszczeń na czole, nie znalazł w swej przeszłości ani jednego wykrzyknika.

...Co za historia! Czterdzieści lat pisałem i ani razu wykrzyknika nie postawiłem... Hm... Ale do diabła, kiedyż go się stawia?

Spoza szeregu ognistych wykrzykników ukazała się ironicznie uśmiechnięta twarz młodzieńca-krytyka. Same wykrzykniki uśmiechnęły się i zlały się w jeden wielki wykrzyknik.

Pierekładin potrząsnął głową i otworzył oczy...

Licho wie co... – pomyślał. – Jutro trzeba wstać na mszę, a mnie to diabelstwo z głowy nie wychodzi... Pfuj! Ale... kiedy go się stawia? Oto masz przyzwyczajenie! Oto masz wprawę! Przez czterdzieści lat ani jednego wykrzyknika!

Pierekładin przeżegnał się i zamknął oczy, ale zaraz je otworzył, na ciemnym tle bowiem wciąż jeszcze widniał wielki wykrzyknik...

– Tfu! Chyba całą noc nie zasnę! Marfusza – zwrócił się do żony, która się całe życie chełpiła tym, że skończyła pensję. – Czy ty nie wiesz, kiedy się w papierach stawia wykrzyknik?

– Naturalnie, że wiem. Siedem lat na pensji byłam. Na pamięć całą gramatykę umiem. Ten znak stawia się przy zwracaniu się do kogoś, przy okrzykach i przy wyrażaniu zachwytu, oburzenia, radości, gniewu i innych uczuć.

...Ta-ak... – pomyślał Pierekładin... – zachwyt, oburzenie, radość, gniew i inne uczucia...

Zamyślił się... Czterdzieści lat pisał papiery, napisał ich tysiące, dziesiątki tysięcy, ale nie pamięta ani jednego wiersza, który by wyrażał zachwyt, oburzenie albo coś w tym rodzaju...

...I inne uczucia... – myślał. – Ale czyż w papierach potrzebne są uczucia? Pisać je może i człowiek bez uczuć...

Twarz młodzieńca-krytyka znowu wyjrzała spoza wykrzyknika i uśmiechnęła się ironicznie. Pierekładin podniósł się i usiadł na łóżku... Głowa go bolała, na czoło wystąpił mu zimny pot... W kącie łagodnie świeciła się lampka przed ikoną, meble wyglądały świątecznie. Od wszystkiego rozchodziło się jakieś ciepło, wszystko świadczyło o obecności kobiecej ręki, ale biednemu urzędniczynie było zimno, nieswojo, jakby zachorował na tyfus. Wykrzyknik stał już nie przed zamkniętymi oczyma, ale przed nim, w pokoju, koło toalety żony i drwił z niego!

– Maszyna do pisania! Maszyna! – szeptała mara, ziejąc na urzędnika zimnym chłodem. – Drewno bez czucia!

Urzędnik nakrył się kołdrą, ale i pod kołdrą ujrzał widziadło; przylgnął twarzą do ramienia żony, ale i spoza ramienia sterczało to samo... Całą noc przemęczył się biedny Pierekładin, ale i we dnie nie opuszczała go mara. Widział ją wszędzie: w butach, w spodku, w orderze...

...I inne uczucia... – myślał. – To prawda, że żadnych uczuć nie było... Pójdę zaraz do naczelników złożyć podpis... Czyż to się robi z uczuciem? Tak sobie... Maszyna do gratulacji.

Kiedy Pierekładin wyszedł na ulicę i zawołał dorożkę, to zamiast szwajcara, ujrzał wykrzyknik. I wszystko mówiło mu o zachwycie, oburzeniu, gniewie... Pióro ze stalówką też wyglądało, jak

wykrzyknik. Pierekładin wziął je, umoczył w atramencie i podpisał się: „Sekretarz kolegialny Jefim Pierekładin!!!”.

I stawiając te trzy wykrzykniki był zachwycony, oburzony, uradowany, kipiał gniewem.

– Masz! Masz! – mruczał, naciskając pióro.

Ognisty znak otrzymał zadośćuczynienie – i zniknął...

Nie udało się

Ilia Sergeicz Pepłow i jego żona Kleopatra Pietrowna stali pode drzwiami i chciwie podsłuchiwali. Za drzwiami w maleńkim saloniku odbywała się widocznie rozmowa miłosna między ich córką Nacią, a nauczycielem szkoły powiatowej, Szczupkinem.

– Bierze! – szepnął Pepłow, drżąc z niecierpliwości i zacierając ręce. – Pamiętaj więc, Pietrowno, jak tylko zaczną mówić o uczuciach, to natychmiast zdejmuj ze ściany ikonę – i idziemy błogosławić. Błogosławieństwo ikoną jest święte i nienaruszalne... Nie wykręci się już, chociażby do sądu podawał.

Za drzwiami zaś odbywała się następująca rozmowa:

– Niech pani da spokój z tym swoim charakterem – mówił Szczupkin, zapalając zapałkę o kraciaste spodnie. – Wcale do pani listów nie pisałem!

– Masz tobie! Niby to ja nie znam pańskiego charakteru pisma – sepleniła panna zmanierowanym, piskliwym głosem, co chwila spoglądając w lustro. – Od razu poznałam. I jakiś pan dziwny! Nauczyciel kaligrafii – a pisze jak kura patykiem. Jakże pan uczy pisać, kiedy pan sam nie umie.

– Hm... To nic nie znaczy. W kaligrafii – to główna rzecz nie pismo, jeno żeby uczniowie nie zbytkowali. Jednego uderzy się linijką po głowie, innemu każe się klęczeć... Ale co tam pismo! Głupstwo! Niekrasow był literatem, a pisał – pożal się, Boże! W zbiorze jego utworów pokazane jest jego pismo.

– Co innego Niekrasow, a co innego pan... (Westchnienie). Za literata z przyjemnością bym wyszła. Ten by mi ciągle wiersze

pisał do albumu!

– Wiersze to i ja mogę pani napisać, jeżeli pani chce.

– A o czymże pan może pisać?

– O miłości... o uczuciu... Przeczyta pani i osłupieje. Łzy wystąpią! A jeżeli napiszę pani poetyczne wiersze, to pozwoli pani ucałować sobie rączkę?

– Wielka rzecz... A niech pan całuje choćby zaraz!

Szczupkin podskoczył i wyłupiwszy oczy, przylgnął do pulchnej, pachnącej jajecznym mydłem rączki.

– Zdejmuj ikonę! – porwał się gwałtownie Pepłow, pchnąwszy żonę łokciem w bok, blednąc ze wzruszenia i zapinając marynarkę. – Idziemy! Prędzej!

I nie zwlekając ani sekundy, pchnął drzwi.

– Dzieci... – bełkotał, wznosząc ręce ku górze i mrugając załzawionymi oczyma. – Bóg was pobłogosławi, dzieci moje... Żyjcie i rozmnażajcie się.

– I ja... błogosławię – powiedziała mamusia, płacząc ze szczęścia. – Bądźcie szczęśliwi, moi drodzy. O zabiera mi pan mój jedyny skarb – zwróciła się do Szczupkina. – Kochaj moją córkę, opiekuj się nią!

Szczupkin rozdziawił usta ze zdumienia i strachu. Atak rodziców był tak niespodziany i zuchwały, że nie mógł wymówić ani słowa.

...Złapałem się!... Oplątali mnie – pomyślał, zamierając z przerażenia. – Kaput, bracie! Nie wykręcisz się...

I pokornie schylił głowę, jakby chciał powiedzieć.

– Bierzcie mnie, jestem ujarzmiony!

– Bło... błogosławię – ciągnął dalej papa i również zapłakał. – Nateczko, córko moja... stań tu obok. Pietrowno, dawaj ikonę!

Lecz nagle rodzic przestał płakać i twarz jego wykrzywiła się gniewem.

– Głąbie! – z wściekłością krzyknął na żonę. – Cielęca głowo! Czyż to jest ikona?!...

– Ach, mój Boże!

Co się stało? Nauczyciel kaligrafii nieśmiało podniósł oczy i spostrzegł, że jest uratowany: mamusia w pośpiechu zdjęła ze ściany, zamiast ikony, portret pisarza Łażecznikowa.

Stary Pepłow i jego połowica Kleopatra Pietrowna stali, zmieszani, z portretem w ręku, nie wiedząc, co robić, co mówić...

Nauczyciel kaligrafii skorzystał z zamieszania i czmychnął.

Długi język

Natalia Michajłowna, młoda kobietka, która rano przyjechała z Jałty, jadła obiad i bez przerwy trajkocząc, opowiadała mężowi o urokach Krymu. Mąż, rozradowany, spoglądał z rozczuleniem na jej zachwyconą twarz i od czasu do czasu zadawał pytania.

– Ale powiadają, że życie tam jest bardzo drogie? – pytał między innymi.

– Jak ci powiedzieć? Według mnie, przesadzają co do drożyzny. Nie taki diabeł czarny, jak go malują. Ja, na przykład, miałam z Julią Piotrowną bardzo wygodny i przyzwoity pokój za dwadzieścia rubli na dobę. Wszystko, mój drogi, zależy od tego, jakie się życie prowadzi. Rozumie się, jeżeli ci się zechce pojechać w góry... na przykład, na Aj-Petri... wziąć przewodnika, konia – wtedy, naturalnie, drogo. Strasznie drogo! Ale jakie tam góry, Wasia! Wyobraź sobie: wysokie, wysokie, tysiąc razy wyższe od kościoła... A w górach mgła, mgła, mgła... W dole kamienie, kamienie, kamienie... I pinie... Aż strach wspomnieć!

– *À propos*... czytałem tu podczas twojej nieobecności, w jakimś piśmie, o tamtejszych przewodnikach-Tatarach... Co za świństwo! Czy rzeczywiście to jacyś szczególni ludzie?

Natalia Michajłowna zrobiła pogardliwy grymas i przecząco kiwnęła głową.

– Zwykli Tatarzy, nic szczególnego – powiedziała. – Zresztą widziałam ich z daleka, przypadkowo... Pokazywali mi ich, ale nie zwróciłam uwagi. Zawsze, mój kochaneczku, czułam uprzedzenie do tych wszystkich Czerkiesów, Greków, Maurów!

– Mówią, że to są straszne lowelasy?

– Być może! Bywają takie bezwstydne, które...

Natalia Michajłowna nagle drgnęła, jak gdyby przypomniała sobie coś strasznego, z pół minuty patrzyła na męża wylęknionymi oczyma i powiedziała, rozwlekając każde słowo:

– Powiem ci, Wasia, jakie są niemoralne! Ach, jakie niemoralne! Nie tylko proste kobiety albo ze średniego stanu, ale i te nadęte arystokratki. Wprost okropności, oczom własnym nie wierzyłam! Do śmierci nie zapomnę! Czyż można się zapomnieć do tego stopnia, żeby... ach, Wasia, nawet mówić nie chcę! Weźmy, na przykład, moją towarzyszkę Julię Pietrownę... Taki dobry mąż, dwoje dzieci... należy do dobrego towarzystwa, udaje zawsze świętą i nagle, wyobraź sobie... Tylko, mój drogi, rozumie się, to między nami... Daj słowo honoru, że nikomu nie powiesz!

– Co znowu! ma się rozumieć, że nie powiem.

– Słowo honoru? Pamiętaj! Ja ci wierzę...

Kobietka położyła widelec, nadała swej twarzy tajemniczy wyraz i zaczęła szeptem:

– Wyobraź sobie taką rzecz... Pojechała ta Julia Michajłowna w góry... Była piękna pogoda. Ona jedzie ze swoim przewodnikiem pierwsza, ja – z tyłu za nimi. Ujechaliśmy ze trzy – cztery wiorsty, gdy nagle – wyobraź sobie! – Julia wydaje okrzyki łapie się za piersi. Jej Tatarzyn chwyta ją za kibić, gdyż wypadłaby z siodła. Ja ze swoim przewodnikiem zbliżam się do niej... – „Co takiego? Co się stało?" – – „Och! – krzyczy – umieram! Niedobrze mi! Nie mogę dalej jechać". – Wyobraź sobie mój przestrach: – „Zatem, wracajmy – powiadam – do domu!" – „Nie – mówi – nie mogę wracać. Jeżeli zrobię jeszcze jeden krok, to umrę z bólu. Mam spazmy!" – i prosi, i błaga mnie i mego Sulejmana, żebyśmy wrócili do miasta i przywieźli jej kropli, które jej pomagają.

– Poczekaj... nic cię nie rozumiem – wybełkotał mąż, drapiąc się w czoło. – Przedtem powiedziałaś, żeś widziała Tatarów tylko z daleka, a teraz opowiadasz o jakimś tam Sulejmanie.

– Ty znowu czepiasz się słów! – zmarszczyła się pani, ani trochę niezmieszana. – Nie znoszę podejrzliwości! Nie znoszę! To jest głupie, głupie!...

– Ja się nie czepiam, ale... po co mówić nieprawdę. Jeździłaś na wycieczki z Tatarami – no to niech sobie będzie. Bóg z tobą, ale... po co kręcić?

– Hm... a to dziwak! – oburzyła się pani. – Jest zazdrosny o Sulejmana! Wyobrażam sobie, jakbyś ty pojechał w góry bez przewodnika! Wyobrażam sobie! Jeżeli nie znasz, nie rozumiesz tamtejszego życia, to lepiej nie mów. Nie mów, nic nie mów! Bez przewodnika tam kroku nie można zrobić!

– Rozumie się!

– Proszę bardzo, bez tych głupich uśmieszków. Nie jestem jakaś tam Julia... Ja jej nie bronię, ale ja... Nie udaję przynajmniej świętoszka i nie zapomniałam się jeszcze do tego stopnia... U mnie Sulejman nie wykraczał poza granice... Nie! Mametkuł cały czas przesiadywał u Julii, a u mnie, gdy tylko jedenasta wybiła, zaraz: – „Sulejmanie, marsz! Idź sobie!" – I mój głupi Tatarzyna odchodzi. Ja, mój drogi, trzymałam go w karbach. Jak tylko zacznie gderać co do pieniędzy albo czegokolwiek, ja w tej chwili: „– Co-o? Co-o-o?" – To zaraz mu dusza w pięty ucieka... Ha-ha-ha!... Oczy, uważasz, Wasia, czarne, jak węgiel, mordeczka tatarska, taka głupia, śmieszna... Ja go tak trzymałam! Tak!

– Wyobrażam sobie – mruknął mąż, kręcąc kulki z chleba.

– Głupi Wasia. Ja przecież wiem, jakie ty masz myśli! Wiem, co ty myślisz... Ale zapewniam cię, że on nawet podczas spacerów pozostawał u mnie w granicach. Jedziemy, na przykład, w góry albo

do wodospadu, ja mu zawsze mówię: – „Sulejmanie, jechać z tyłu!” – I zawsze jechał z tyłu biedaczek... Nawet podczas... w najpatetyczniejszych miejscach zawsze mu mówiłam: – „Jednak nie powinieneś zapominać, żeś ty tylko Tatarzyn, a ja żona radcy stanu!” – Ha-ha! Pani zaśmiała się, potem prędko się obejrzała i zrobiwszy wystraszoną minę, zaczęła szeptać:

– Ale Julia! Ach, ta Julia! Rozumiem wszystko, Wasia, dlaczego nie zabawić się, nie odpocząć po pustce światowego życia?... Wszystko to wolno... baw się, nikt cię nie potępi, ale brać to poważnie, urządzać sceny... nie, mów, co chcesz, a ja tego nie rozumiem. Wyobraź sobie, ona była zazdrosna. Czy to nie głupie? Raz przychodzi do niej Mametkuł, jej feblik... Nie było jej w domu... No, zaprosiłam go do siebie, zawiązała się rozmowa, to i owo, oni, wiesz, są okropnie zabawni! Niepostrzeżenie tak spędziliśmy wieczór... Nagle, wpada Julia... Rzuca się na mnie, na Mametkuła... urządza nam scenę... pfuj! Ja tego nie rozumiem, Wasia!

Wasia chrząknął, nachmurzył się i zaczął chodzić po pokoju.

– Wesołoście tam spędzały czas, nie ma co mówić! – mruknął, uśmiechając się z odrazą.

– No, jakie to jest głu-upie! – obraziła się Natalia Michajłowna. – Ja wiem, o czym ty myślisz! Ty zawsze masz takie brzydkie myśli. Nie będę ci już nic opowiadała! Nie będę!

Kobietka wydęła wargi i umilkła.

Złoczyńca

Przed sędzią śledczym stoi mały, niezwykle chudy chłopak w zgrzebnej koszuli i łatanych portkach. Jego zarośnięta, dziobata twarz i oczy, ledwo widoczne spoza gęstych, obwisłych brwi, mają wyraz posępnej surowości. Gęsta, splątana, dawno nieczesana czupryna nadaje jeszcze więcej surowości jego twarzy.

– Denis Grigoriew! – zaczyna sędzia – podejdź bliżej i odpowiadaj na moje pytania. Siódmego lipca dróżnik kolejowy Akinfow, obchodząc rano tor, schwytał cię na odkręcaniu muterki, którą przymocowuje się szynę do podkładu. Oto ta muterka. Z nią cię zatrzymał. Czy tak było?

– Czego?

– Czy tak było, jak mówi Akinfow?

– Wiadoma rzecz, że było.

– Dobrze, a po cóż odkręcał?

– Czego?

– Daj spokój z tym „czego", a odpowiadaj na pytania: po coś odkręcał?

– Gdyby nie była potrzebna, to bym nie odkręcał – odpowiada ochrypniętym głosem Denis, patrząc na sufit.

– Na co ci była potrzebna muterka?

– Muterka? My z nich robimy ciężarki.

– Kto to – *my*?

– My, naród... To jest chłopi Klimowscy.

– Słuchaj, nie udawaj idioty i mów do rzeczy. Po co kłamać o jakichś ciężarkach?

– Nigdy nie kłamałem, a teraz od razu niby kłamię... – mruczy Denis, mrugając oczyma. – Czyż można bez ciężarka, panie sędzio? Jeżeli osadzi się na haczyku żywca, to czyż pójdzie na dno bez ciężarka? Kłamię... – uśmiecha się Denis. – A po kiego diabła żywiec, jeżeli będzie na powierzchni pływał! Okuń, szczupak, miętus zawsze się na dnie łowią, a na powierzchni to tylko wyrozub i to bardzo rzadko. W naszej rzece go nie ma... Ta rybka wymaga dużej przestrzeni.

– Ale co ty mi o jakimś wyrozubie opowiadasz.

– Czego? A przecież się pan sam pyta! U nas i panowie tak łowią. Najmniejszy dzieciak nie będzie łowił bez ciężarka. Kto nie ma pojęcia – ten, rozumie się, i bez ciężarka łowi. Na głupców nie ma rady.

– Więc mówisz, że odkręciłeś tę mutrę, żeby zrobić z niej ciężarek?

– A dla czego innego? Nie dla zabawki przecież.

– Ale na ciężarek mogłeś wziąć ołów, kulę... gwóźdź jakiś.

– Ołowiu na drodze się nie znajdzie, trzeba kupić, a gwóźdź się nie nadaje. Lepszego, jak mutra, nie ma... I ciężka, i dziurkę ma.

– Udajesz głupca! Jakbyś się wczoraj urodził albo z nieba spadł. Czyż nie rozumiesz, ośla głowo, do czego prowadzi takie odkręcanie? Gdyby dróżnik nie spostrzegł, pociąg by się wykoleił, ludzie by się pozabijali. Ty byś ludzi zabił!

– Niech Bóg broni, panie sędzio! Po co ludzi zabijać!? Czyż my – to nie chrzczeni albo zbóje jacyś! Bogu dzięki, żyliśmy, panie dobry, dotychczas i nie tylko nie zabijaliśmy, ale ani nam to na myśl nie przychodziło. Niech nas Matka Boska broni!... Co pan mówi!

– A od czego, według ciebie, bywają katastrofy kolejowe? Odkręć dwie-trzy mutry – i gotowa katastrofa!

Denis uśmiecha się i niedowierzająco mruży oczy.

– Ho! Od wielu lat już cała wieś odkręca mutry i chwała Bogu, nic się nie stało, a teraz od razu – Katastrofa... zabójstwo... Gdybym szynę zabrał albo, dajmy na to, kłodę w poprzek położył – wtedy, ma się rozumieć, pociąg by się przewrócił, ale mutra – wielka rzecz!

– Zrozumże nareszcie – mutrami szyna jest przymocowana do podkładów!

– To my rozumiemy... Przecież nie wszystkie odkręcamy... Zostawiamy... Nie po głupiemu robimy... rozumiemy. – Denis ziewa i robi znak krzyża.

– W zeszłym roku wykoleił się pociąg – mówi sędzia śledczy. – Teraz rozumiem, dlaczego...

– Co takiego?

– Teraz, powiadam, rozumiem dlaczego w zeszłym roku pociąg się wykoleił... Rozumiem!

– Na to wykształceni jesteście, dobrodzieje nasi, żeby rozumieć. Bóg wiedział, komu dać rozum... Pan też rozpatrzył, co i jak, a ten dróżnik, prosty chłop, bez wszelkiego rozumu, łapie za halz i ciągnie. Przedtem rozpatrz – a potem ciągnij. Wiadoma rzecz – chłop i chłopski rozum... Niech pan, z łaski swojej, zapisze także, że mi dwa razy dał w zęby i w pierś uderzył.

– Przy rewizji znaleziono u ciebie jeszcze jedną mutrę... Tę – kiedy i w jakim miejscu odkręciłeś?

– To pan o tej mutrze, co leżała pod czerwoną skrzynką?

– Nie wiem, gdzie leżała, tylko znaleźli ją i ciebie. Kiedyś ją odkręcił?

– Ja jej nie odkręcałem, tylko dostałem ją od Ignaca, syna Siemiona. To ja o tej, co pod skrzynką, a tę, co była w sankach, na dworze, tośmy ją razem z Mitrofanem odkręcali.

– Z jakim Mitrofanem?

– Z Mitrofanem Pietrowem... Czyż pan o nim nie słyszał? Sieci u nas robi i panom sprzedaje. Tych muter potrzeba jemu niemało. Na każdą sieć z dziesięć sztuk.

– Posłuchaj, paragraf tysiąc osiemdziesiąty pierwszy ustawy karnej mówi: „Za każde świadome uszkodzenie kolei żelaznej, jeżeli ono naraża na niebezpieczeństwo idący po torze pociąg i jeżeli winowajca wiedział, że skutkiem tego może być nieszczęście... – Rozumiesz? *Wiedział*! A ty nie mogłeś nie wiedzieć do czego prowadzi to odkręcanie... – zostaje skazany na zesłanie do katorgi".

– Rozumie się, pan lepiej wie... Myśmy ludzie ciemni... czy my co rozumiemy?

– Wszystko rozumiesz! Kłamiesz, udajesz!

– Po co kłamać? Niech się pan spyta we wsi, jeżeli pan nie wierzy... Bez ciężarka tylko ukleję się łowi; nie ma marniejszej ryby od kiełbia, a i ten nie da się wziąć bez ciężarka.

– Jeszcze o wyrozubie opowiadaj! – uśmiecha się sędzia.

– Wyrozuba u nas nie ma. Zarzucamy wędkę bez ciężarka na powierzchnię – na karpia, ale rzadko bierze.

– No, cicho...

Następuje milczenie. Denis przestępuje z nogi na nogę, patrzy na stół, pokryty zielonym suknem i gwałtownie mruga oczyma, jakby widział nie sukno, lecz słońce. Sędzia śledczy coś prędko pisze.

– Mogę odejść? – pyta Denis po krótkim milczeniu.

– Nie. Muszę cię zaaresztować i odesłać do więzienia.

Denis przestaje mrugać i podniósłszy swe gęste brwi, pytająco patrzy na urzędnika.

– Jak to, do więzienia? Wasza Wielmożności! Ja nie mam czasu, muszę na jarmarku odebrać trzy ruble za sadło.

– Milczeć, nie przeszkadzać!

– Do więzienia... Gdyby było za co, to bym poszedł, a tak, ni stąd, ni zowąd... Za co?... Przecież nie kradłem, ani się nie biłem... A jeżeli wedle podatków, to niech pan nie wierzy wójtowi. Sumienia nie ma ten wójt.

– Milczeć!

– Ja i tak milczę – mruczy Denis. – A wobec tego, co wójt nazmyślał w raporcie, to gotów jestem przysiąc. Jest nas trzech braci: Jegor, ja i...

– Przeszkadzasz mi... Hej, Semionie! – krzyczy sędzia. – Wyprowadzić go!

– Jest nas trzech braci – mruczy Denis, podczas kiedy dwóch tęgich żandarmów bierze go i wyprowadza. – Brat za brata nie odpowiada... Kuzma nie płaci, a ty, Denisie, odpowiadaj... Sędziowie!... Umarł nieboszczyk pan generał – Panie, świeć nad jego duszą! – on by wam, sędziom, pokazał... Trzeba sądzić z rozumem, a nie byle jak... Cóż, bij, jeżeli jest za co, ale wedle sumienia...

Zemsta

Lew Sawicz Tumanow, zwykły śmiertelnik, posiadacz kapitaliku, młodej żony i poważnej łysiny, grał raz w karty na imieninach u swego przyjaciela. Po dość znacznej przegranej, od której nawet potem się oblał, przypomniał sobie nagle, że już długo nie pił wódki. Wstał z miejsca i na palcach, kołysząc się poważnie, przesunął się między krzesłami, przeszedł salon, gdzie tańczyła młodzież (tu z uśmiechem, pobłażliwie i po ojcowsku poklepał po plecach młodego aptekarza), i czmychnął przez małe drzwi do bufetu. Stały tam na okrągłym stoliku butelki, karafki z wódką... Przy nich, wśród innych zakąsek, leżał na talerzu, zieleniąc się od cebulki i pietruszki, śledź, z którego połowę już zjedzono. Lew Sawicz nalał sobie kieliszek, wykonał w powietrzu ruch palcami, jakby miał zamiar rozpocząć przemówienie, wypił i zrobił przy tym grymas męczeński, potem dziobnął widelcem dzwonko śledzia... Naraz za ścianą dały się słyszeć głosy:

– Dobrze, dobrze – mówił ożywiony głos kobiecy. – Tylko kiedy to będzie?

...Moja żona... – poznał Lew Sawicz. – Z kim też ona rozmawia?

– Kiedy chcesz, moja droga – odpowiedział za ścianą niski, soczysty bas. – Dziś – nie bardzo mi na rękę, jutro – calusieńki dzień jestem zajęty...

...To Degtiarow – poznał Tumanow jednego z przyjaciół po basowym głosie. – I ty, Brutusie! Czyżby i jego już złapała? Co za nienasycona, niespokojna baba? Jednego dnia nie może przeżyć bez romansu...

– Tak, jutro jestem zajęty – ciągnął bas – jeżeli chcesz, napisz do mnie cośkolwiek jutro... Będzie mi bardzo miło... Tylko powinniśmy jakoś zorganizować naszą korespondencję. Trzeba coś wymyślić. Poczta – niezupełnie bezpieczna. Jeżeli ja do ciebie napiszę, to twój indor może list przyłapać u listonosza, jeżeli zaś ty do mnie napiszesz, to moja połowica odbierze w mojej nieobecności i na pewno otworzy.

– Więc co robić?

– Trzeba wymyślić jakiś kawał. Przez służbę też posyłać nie można, gdyż twój Sobakiewicz zapewne trzyma w karbach młodszą i lokaja... Gra teraz w karty?

– Tak. I wiecznie, bałwan, przegrywa.

– Pewnie za to powodzi mu się w miłości – zaśmiał się Degtiarow. – O, posłuchaj, jaki fortel wymyśliłem?... Jutro, punktualnie o szóstej wieczorem, wracając z biura, będę przechodził przez ogród publiczny, gdzie mam się zobaczyć z naczelnikiem. Więc wiesz co, moja droga? Postaraj się koniecznie przed szóstą, nie później, włożyć liścik do wazonu marmurowego, co stoi na lewo od winogronowej altanki.

– Wiem, wiem!

– To będzie i poetycznie, i tajemniczo, zupełnie coś nowego. Nie dowie się ani twój tłuścioch, ani moja połowica. Zrozumiałaś?

Lew Sawicz wypił jeszcze jeden kieliszek i wrócił do kart. Odkrycie, które dopiero co zrobił, nie oszołomiło go, nie zdziwiło ani też nawet trochę nie oburzyło. Dawno już minął czas, kiedy się oburzał, urządzał sceny, wymyślał i nawet bił – machnął ręką i patrzył na romanse swej lekkomyślnej żony przez palce. Było mu jednakowo nieprzyjemnie! Takie wyrażenia, jak „tłuścioch”, „indor” i „Sobakiewicz” obrażały jego miłość własną.

...Jakaż to jednak kanalia, ten Degtiarow – myślał zapisując przegrane. – Przy spotkaniu na ulicy udaje takiego miłego przyjaciela, wyszczerza zęby, gładzi po brzuchu, a teraz, jakie to słówka puszcza! W oczy nazywa przyjacielem, a za oczy jestem dla niego „indorem" i „tłuściochem"... – Im więcej przegrywał, tym dotkliwsze stawało się uczucie zniewagi.

...Młokos... – rozpamiętywał, z wściekłości łamiąc kredkę. – Smarkacz... nie chce mi się tylko z tobą paskudzić, ale pokazałbym ci „Sobakiewicza".

Podczas kolacji nie mógł obojętnie patrzeć na fizjonomię Degtiarowa, a ten, jakby umyślnie niepokoił go pytaniami: czy wygrał? dlaczego jest smutny itp. I nawet doszedł do takiego zuchwalstwa, że w roli przyjaciela głośno zrobił wymówkę jego żonie, że za mało dba o zdrowie męża. A małżonka, jakby nigdy nic, patrzyła na męża słodkimi oczyma, śmiała się wesoło, paplała w najniewinniejszy sposób, tak, iż sam diabeł nie mógłby jej posądzić o niewierność.

Po powrocie do domu, Lew Sawicz był zły i niezadowolony, jak gdyby podczas kolacji, zamiast cielęciny, zjadł stary kalosz; może być, że przemógłby się i zapomniał, ale szczebiot żony i jej uśmieszki co chwila przypominały mu „indora", „tłuściocha", „gęsiora"...

...Po pysku by dać łotrowi... skompromitować go publicznie. – I myślał sobie teraz, że dobrze by było pobić Degtiarowa, zastrzelić go w pojedynku, jak wróbla... wysadzić z posady... albo włożyć do marmurowego wazonu coś nieprzyzwoitego, cuchnącego... na przykład, zdechłego szczura... Nieźle byłoby wykraść list żony z wazonu, a zamiast niego, położyć jakieś nieprzyzwoite wiersze z podpisem „twoja Akulka" lub coś w tym rodzaju.

Tumanow długo chodził po sypialni i napawał się tego rodzaju marzeniami... nagle, przystanął i uderzył się ręką w czoło.

– Znalazłem, brawo! – zawołał i twarz rozjaśniła mu się zadowoleniem. To będzie doskonałe! Do-skonale!

Gdy małżonka zasnęła, usiadł przy biurku i po długim namyśle, zmieniając charakter pisma, nakreślił, co następuje: „Do kupca Dolinowa. Szanowny Panie! Jeżeli do szóstej wieczór dziś, 12 września, nie włoży pan dwustu rubli do marmurowego wazonu w ogrodzie miejskim, na lewo od altanki winogronowej, to będzie pan zabity, a pański sklep galanteryjny wyleci w powietrze".

Skończywszy ten list, Lew Sawicz aż podskoczył z zachwytu.

– Co za pomysł! – mruczał, zacierając ręce. – Cudownie! Lepszej zemsty sam szatan nie wymyśli. Rozumie się, że kupczyna się zlęknie, da zaraz znać policji, a policja urządzi koło szóstej zasadzkę w krzakach i capnie ptaszka, kiedy ten polezie po list... To się dopiero przestraszy! Zanim się sprawa wyjaśni, kanalia zdąży namęczyć się, nasiedzieć... Brawo!

Lew Sawicz nalepił markę na list i sam odniósł go na pocztę. Zasnął z błogim uśmiechem i spał tak słodko, jak mu się to już dawno nie zdarzyło. Obudziwszy się rano i przypomniawszy sobie swój koncept, zamruczał wesoło i nawet pogładził niewierną żonę po podbródku. Idąc do biura i później, siedząc w kancelarii, uśmiechał się cały czas, a wyobraźnia rysowała mu przerażenie Degtiarowa, kiedy wpadnie w zasadzkę. Po piątej nie mógł już wytrzymać i pobiegł do miejskiego ogrodu, by na własne oczy napawać się widokiem rozpaczliwego położenia swego wroga.

...Acha!... – pomyślał, spotkawszy policjanta.

Doszedłszy do altanki winogronowej, usiadł na ławce pod krzakiem i skierowawszy natężony wzrok na wazon, czekał. Niecierpliwość jego nie miała granic.

Punktualnie o szóstej zjawił się Degtiarow. Młody człowiek był widocznie w najlepszym humorze. Cylinder jego był zawadiacko zsunięty na tył głowy, a spod rozpiętego palta razem z kamizelką wyglądała, rzekłbyś, sama dusza. Pogwizdywał i palił cygaro.

...Zobaczysz, zaraz dowiesz się, co to jest „indor" i „Sobakiewicz" – napawał się Tumanow. – Poczekaj!

Degtiarow zbliżył się do wazonu i niedbale wsunął weń rękę... Lew Sawicz wstał i wpił się w niego wzrokiem... Młody człowiek wyciągnął z wazonu niewielki pakiecik, obejrzał go ze wszystkich stron, wzruszył ramionami, następnie z wahaniem otworzył, znowu wzruszył ramionami, a na twarzy jego odmalowało się niezwykłe zdumienie – w pakiecie były dwa sturublowe papierki. Długo przyglądał się Degtiarow tym papierkom. Wreszcie, nie przestając wzruszać ramionami, wsunął je do kieszeni wyrzekł: – „Merci".

Nieszczęsny Lew Sawicz słyszał to „merci". Cały wieczór stał naprzeciwko sklepu Dolinowa, wygrażał pięścią szyldowi i mruczał z oburzeniem:

– Tch-chórz! Podły handlarz! Tch-chórz plugawy! Zając brzuchaty!

Order

Nauczyciel progimnazjum wojskowego registrator kolegialny, Lew Pustiakow, sąsiadował ze swoim przyjacielem Ledieńcowem. Do niego też skierował swe kroki rano w dzień Nowego Roku.

– Uważaj, Grisza, o co chodzi – powiedział po zwykłych życzeniach noworocznych. – Nie byłbym cię trudnił, gdyby nie konieczna potrzeba. Pożycz mi, mój drogi, na dzisiejszy dzień twego „Stanisława". Jestem dziś zaproszony na obiad do kupca Spieczkina. A znasz przecież tego durnia Spieczkina, okropnie kocha się w orderach i niemal za łotrów uważa tych, u których nie dynda coś na szyi albo na piersi... A prócz tego, ma dwie córki... wiesz, Nastia i Zina... Zwracam się do ciebie, jako do przyjaciela... Rozumiesz mnie. Pożycz mi, z łaski swojej, twego orderu.

Wszystko to wypowiedział Pustiakow, jąkając się, rumieniąc i trwożnie spoglądając na drzwi. Ledieńcow zaklął, ale się zgodził.

O godzinie drugiej po południu Pustiakow jechał w dorożce do Spieczkina i odchyliwszy trochę futra, spoglądał na swoją pierś. A na piersi świecił pozłotą i połyskiwał emalią cudzy „Stanisław".

...Więcej jakoś szacunku nabiera się do siebie – rozmyślał nauczyciel – mała rzecz, kosztuje nie więcej, jak pięć rubli, a jaką sprawia furorę.

Przyjechawszy do Spieczkina, rozpiął futro i nie śpiesząc się, płacił dorożkarzowi. Zdawało mu się, że dorożkarz, ujrzawszy jego szlify, guziki i „Stanisława", skamieniał z zachwytu. Pustiakow chrząknął z zadowolenia i wszedł do domu. Zdejmując w przedpokoju futro, zajrzał do salonu. Siedziało tam już przy podłużnym stole

obiadowym z piętnaście osób i jadło obiad. Słychać było gwar rozmów i brzęk talerzy.

– Kto tam dzwoni? – dał się słyszeć głos gospodarza. – A! to Lew Nikołaicz! Prosimy. Spóźnił się pan nieco – ale to nic nie znaczy... Dopiero cośmy usiedli!

Pustiakow wypiął pierś, podniósł głowę i zacierając ręce, wszedł do salonu. Ale tu ujrzał coś okropnego.

Przy stole, obok Ziny, siedział jego kolega służbowy, nauczyciel francuskiego, Tremblant. Pokazać Francuzowi order – znaczyłoby to wywołać masę przykrych zapytań, znaczyłoby – zblamować się na całe życie...

Pierwszym odruchem Pustiakowa było albo zerwać order, albo uciec; ale order był mocno przyszyty, ucieczka zaś była już niemożliwa. Błyskawicznym ruchem prawej ręki zakrył order, pochylił się, oddał niezgrabnie ogólny ukłon i nie podając nikomu ręki, usiadł na wolnym krześle, właśnie vis-à-vis swego kolegi Francuza.

...Widocznie wstawiony – pomyślał Spieczkin, spojrzawszy na jego twarz roztargnioną.

Przed Pustiakowem postawiono talerz z zupą. Wziął lewą ręką łyżkę, ale przypomniawszy sobie, że lewą ręką nie wypada jeść w przyzwoitym towarzystwie, wymówił się, że już jadł obiad i że mu się jeść nie chce.

– Ja już jadłem... Merci... – wybełkotał. – Byłem z wizytą u wuja Jelejewa i ten mnie namówił... tego... zjeść obiad.

Duszę Pustiakowa ogarnął smutek żałosny i wściekły gniew: od zupy rozchodził się ponętny zapach, a nad jesiotrem unosiła się niezwykle apetyczna para. Nauczyciel spróbował zwolnić prawą rękę i zakryć order lewą, ale zaraz zrzekł się tego zamiaru.

...Spostrzegą... Ręka będzie przeciągnięta przez całą pierś – pomyślą, że chcę śpiewać. Kiedyż już raz, na Boga, skończy się ten obiad. Najem się w restauracji.

Po trzecim daniu nieśmiało jednym okiem spojrzał na Francuza. Tremblant, mocno czymś zakłopotany, również patrzył na niego i też nic nie jadł. Spojrzawszy na siebie nawzajem, jeszcze więcej się obaj zmieszali i oczy spuścili na puste talerze.

...Spostrzegł, podlec – pomyślał Pustiakow. – Z gęby mu patrzy, że spostrzegł. To łajdak, denuncjant! Zaraz jutro opowie dyrektorowi!

Gospodarze i goście zjedli czwarte danie, zjedli z łaski losu i piąte...

Wstał jakiś wysoki pan z szerokimi, włochatymi nozdrzami, garbatym nosem i zmrużonymi od urodzenia oczami. Pogładził się po głowie i wyrzekł.

– E-e-e-e eproponuję ewypić za rozkwit siedzących tu dam!

Biesiadnicy wstali z hałasem i wzięli do rąk kieliszki. Głośne „hura!" rozległo się po wszystkich pokojach.

Pustiakow wstał i ujął swój kielich lewą ręką.

– Lwie Nikołajewiczu, oddajcie, z łaski swojej, ten kielich Nastasji Timofiejewnie – zwrócił się do niego jakiś mężczyzna, podając mu kielich – i namówcie ją, żeby wypiła.

W tym wypadku Pustiakow ku wielkiemu swemu przerażeniu zmuszony był puścić w ruch i prawą rękę. Stanisław z pomiętą czerwoną wstęgą ujrzał nareszcie światło dzienne i zabłysnął. Nauczyciel zbladł, pochylił głowę i nieśmiało spojrzał na Francuza. Ten zaś patrzył na niego osłupiałym pytającym wzrokiem. Wargi jego uśmiechały się chytrze, a z twarzy powoli znikał wyraz zakłopotania.

– Juliuszu Augustowiczu – zwrócił się do Francuza gospodarz – niech pan poda tę butelkę swemu sąsiadowi!

Tremblant nieśmiało wyciągnął prawą rękę do butelki i... o szczęście! Pustiakow ujrzał na jego piersi order. I to nie „Stanisława" lecz „Annę"!... Więc i Francuz poszachrował! Pustiakow roześmiał się z zadowolenia, siadł na krześle i rozparł się szeroko. Teraz już nie było potrzeby ukrywać „Stanisława". Obaj popełnili ten sam grzech – nie mógł więc już jeden drugiego zadenuncjować i skompromitować!...

– A-a-a! hm – mruknął Spieczkin, ujrzawszy order na piersiach nauczyciela.

– Tek! – powiedział Pustiakow. – Dziwna rzecz, Juliuszu Augustowiczu! Jak mało było odznaczeń przed świętami. Wielu u nas pracuje, a dostaliśmy tylko my – pan i ja. Dziwna rzecz! Tremblant potrząsnął wesoło głową i wystawił naprzód lewą klapę, którą zdobiła „Anna" trzeciego stopnia.

Po obiedzie Pustiakow chodził po wszystkich pokojach i pokazywał pannom order. Było mu wesoło i lekko na duszy, chociaż głód nieco dokuczał.

...Gdybym był przewidział taki obrót – myślał sobie, z zawiścią spoglądając na Tremblanta, który rozmawiał z gospodarzem o orderach – byłbym sobie przypiął „Włodzimierza" – że też się nie domyśliłem.

Ta jedna myśl tylko dręczyła go trochę. Poza tym, czuł się zupełnie zadowolony.

Podrzutek

Odbywając swoją zwykłą przechadzkę wieczorną, asesor kolegialny Migujew zatrzymał się przy słupie telegraficznym i westchnął głęboko. Tydzień temu w tym samym miejscu, kiedy wracał wieczorem z przechadzki do domu, dopędziła go jego była pokojówka Agnia i powiedziała ze złością:

– Poczekaj! Takiego ci narobię bigosu, że zobaczysz, co to jest gubić niewinne dziewczęta! I dziecko ci podrzucę, i do sądu podam, i żonie powiem...

I zażądała, żeby złożył w banku na jej imię pięć tysięcy rubli. Migujew przypomniał sobie to wszystko, westchnął jeszcze raz i z serdeczną skruchą wyrzucał sobie swoje chwilowe oszołomienie, które sprawiło mu tyle kłopotów i udręczeń.

Migujew doszedł do domu i siadł na ganku, by odpocząć. Była właśnie godzina dziesiąta i spoza chmur wyglądał rąbek księżyca. Na ulicy nie było ani żywej duszy: starsi letnicy już układali się do snu, młodzi zaś – spacerowali po lesie. Szukając w kieszeni zapałek, by zapalić papierosa, Migujew dotknął się łokciem czegoś miękkiego, zajrzał od niechcenia pod swój prawy łokieć i nagle twarz mu się wykrzywiła takim wyrazem przerażenia, jak gdyby ujrzał koło siebie żmiję. Na ganku, koło samych drzwi, leżało jakieś zawiniątko. Coś podłużnego było zawinięte w czymś, co na dotyk wydało mu się stebnowaną kołderką. Jeden koniec zawiniątka był otwarty i asesor kolegialny, wsunąwszy przezeń rękę dotknął czegoś ciepłego i wilgotnego. Skoczył w przerażeniu na nogi

i obejrzał się naokoło, jak zbrodzień, który ma zamiar uciec od pilnującej go straży.

– Podrzuciła – wycedził przez zęby, z wściekłością ściskając pięście. – Oto leży... leży, nieprawe! Boże drogi!

Oniemiał ze strachu, wściekłości i wstydu... Co teraz pocznie? Co powie żona, kiedy się dowie? Co powiedzą koledzy? Jego Ekscelencja zapewne poklepie go po brzuchu i powie: – „Winszuję... He-he-he... Stary, a jary... filut Semion Erastowicz". – Całe letnisko dowie się teraz o jego tajemnicy i być może, poważne matrony nie zechcą go przyjmować w swoich domach. O podrzutkach piszą we wszystkich gazetach – i w ten sposób skromne nazwisko Migujewa zostanie rozsławione po całej Rosji.

Średnie okno willi było otwarte i słychać było wyraźnie, jak Anna Filipowna, żona Migujewa, nakrywała do wieczerzy; na dziedzińcu, tuż koło bramy, stróż Jermoła żałośnie brzdękał na bałabajce...

...Dość, by się dziecko obudziło i zaczęło piszczeć, a tajemnica się wykryje...

– Prędzej, prędzej – bełkotał. – W tej chwili, póki nikt nie widzi... Zaniosę je gdzieś, położę na cudzym ganku.

Migujew ujął zawiniątko jedną ręką i cicho, miarowym krokiem, by nie wydawać się podejrzanym, poszedł wzdłuż ulicy...

...Wyjątkowo paskudne położenie – myślał, starając się nadać sobie wygląd obojętny – asesor kolegialny idzie z dzieckiem po ulicy. Mój Boże, jeżeli kto zobaczy i zmiarkuje – zginąłem... Położę je na tym ganku... Nie, tu są okna otwarte i może ktoś patrzy. Gdzieżby więc? Już wiem, zaniosę je do willi kupca Miełkina, Kupcy – to bogaci i litościwi ludzie, może nawet będą zadowoleni i wezmą na wychowanie.

I Migujew zdecydował się bezwarunkowo zanieść dziecko do willi Miełkina, chociaż ta znajdowała się na samym krańcu letniska, nad rzeką.

...Żeby tylko nie zaczęło wrzeszczeć lub nie wypadło... – myślał asesor kolegialny. – Tego się rzeczywiście nie spodziewałem... niosę pod pachą żywego człowieka, jak portfel. Żywy człowiek, z duszą, uczuciami, jak wszyscy... Może z tego dziecka wyrośnie jaki profesor, dowódca, literat... Wszystko bywa na świecie! Niosę je teraz pod pachą, jak byle co, a za trzydzieści – czterdzieści lat może trzeba będzie przed nim stawać na baczność.

Gdy Migujew przechodził wąską, samotną uliczką koło długich parkanów pod gęstym, czarnym cieniem lip, poczęło mu się nagle wydawać, że popełnia coś okrutnego, występnego.

...Jest to właściwie podłość – myślał. – Trudno nawet wymyślić większe łajdactwo... Za co my to nieszczęsne dziecko przerzucamy z ganku na ganek? Czy ono jest co winne temu, że się urodziło? I co nam złego zrobiło? Podli jesteśmy – lubimy się bawić kosztem niewinnych dzieciątek. Trzeba się tylko zastanowić nad całą tą historią. Ja się oddawałem rozpuście, a dziecko czeka okrutny los... Podrzucę je Miełkinom, ci oddadzą je do domu podrzutków, a tam sami obcy ludzie, wszystko urzędowe... ani pieszczoty, ani miłości. Potem oddadzą je do szewca... rozpije się, nauczy kląć, będzie zdychał z głodu... Do szewca – a przecież to syn asesora kolegialnego, szlacheckiej krwi... To moja krew i ciało...

Migujew wyszedł spod cienia lip na drogę zalaną światłem księżyca i, rozwinąwszy tłumoczek, spojrzał na dziecko.

– Śpi – szepnął. – Patrzcie no, i nos ma, szelma, garbaty, jak ojciec. Dramat, bracie... Co robić? Wybacz... Tak ci widocznie już sądzone.

Asesor kolegialny jął mrugać oczami i poczuł, jak po jego policzkach pełznie coś, niby mrówki... Zawinął dziecko, wziął je pod

pachę i poszedł dalej. Całą drogę aż do willi Miełkina kłębiły mu się w głowie kwestie socjalne, a w piersiach doskwierało sumienie.

...Gdybym był porządnym, uczciwym człowiekiem – rozmyślał – plunąłbym na wszystko, poszedłbym do Anny Filipowny, padłbym przed nią na kolana i powiedziałbym: – „Wybacz! Zgrzeszyłem! Dręcz mnie, ale nie gubmy niewinnego dziecka! Nie mamy dzieci – weźmy je na wychowanie". – Ona jest dobra kobieta, zgodziłaby się... A wtedy moje dziecko byłoby przy mnie... Ech!...

Zbliżył się do willi Miełkina i zatrzymał się w niepewności... Wyobraził sobie, że siedzi w salonie i czyta gazetę, a koło niego kręci się chłopczyna z garbatym nosem i bawi się chwostami jego szlafroka, a jednocześnie do wyobraźni jego cisnęły się postacie kolegów, ironicznie się uśmiechających, oraz jego ekscelencji, która aż parska z zadowolenia i klepie go po brzuchu... W duszy zaś, wraz z wyrzutami sumienia, odzywało się coś miękkiego, ciepłego, rzewnego... Asesor kolegialny ostrożnie położył dziecko na stopniu werandy i machnął ręką. I znowu po jego twarzy z góry na dół popełzły mrówki.

– Wybacz mi, szubrawcowi, miły bracie! Bywaj zdrów!

Cofnął się o krok, lecz natychmiast znów chrząknął stanowczo i powiedział:

– Ech, co będzie, to będzie! Plunę na wszystko! Wezmę je – i niech sobie ludzie mówią, co chcą.

Migujew wziął dziecko i szybko zawrócił.

...Niech mówią, co chcą – myślał – Pójdę zaraz, padnę na kolana i powiem: – „Anno Filipowno!" – To dobra baba, zrozumie... I będziemy go wychowywać. Jeżeli to chłopiec – to nazwiemy go Włodzimierzem, a jeżeli dziewczynka – to Anną... Przynajmniej na starość będzie pociecha.

I jak postanowił, tak też i uczynił. Płacząc, omdlewając ze strachu i wstydu, pełen nadziei i nieokreślonego zachwytu, wszedł do swej willi, skierował się ku żonie i padł przed nią na kolana...

– Anno Filipowno! – powiedział, łkając i kładąc dziecko na podłodze. – Nie potępiaj mnie, pozwól mi się wytłumaczyć... Zgrzeszyłem... To jest moje dziecko... Pamiętasz Agniuszę, to więc jest... Diabeł mnie skusił...

I prawie nieprzytomny ze strachu i wstydu, nie czekając odpowiedzi, wstał, jak wychłostany, i wybiegł na świeże powietrze...

...Zostanę tu na dworze, póki mię nie zawoła – myślał.

Stróż Jermołaj z bałabajką przeszedł obok, spojrzał na niego i wzruszył ramionami... Po minucie znowu przeszedł i znowu wzruszył ramionami.

– Dziwna historia, proszę pana – mruknął uśmiechając się – przyszła tu niedawno, Semionie Erostowiczu, baba – praczka Aksinja. Położyła, głupia, swoje dziecko na werandzie, na ulicy, i gdy siedziała u mnie, ktoś porwał dziecko... To ci historia!...

– Co? Co ty mówisz? – krzyknął na całe gardło Migujew.

Jermołaj, który po swojemu zrozumiał gniew pana, podrapał się w głowie i westchnął...

– Wybaczcie, Semionie Erostowiczu, ale teraz jest czas letniskowy... bez tego... to jest bez baby... wcale nie można...

I spojrzawszy na wytrzeszczone, wściekłe i zdumione oczy pana, chrząknął i ciągnął dalej.

– Tak, rozumie się, że to grzech, ale co zrobić... Pan zabronił puszczać obce baby, to prawda, ale skąd wziąć swoje. Dawniej, kiedy ta mieszkała, Agniusza, nie puszczałem obcych dlatego, że swoja była, a teraz sam pan widzi... bez obcych obejść się nie można... A przy Agniuszy, rzeczywiście, nieporządków nie było.

– Wynoś się, łotrze! – krzyknął na niego Migujew, zatupał nogami i poszedł z powrotem do mieszkania.

Anna Filipowna, zdumiona i zirytowana, siedziała w tym samym miejscu i nie odrywała zapłakanych oczu od dziecka.

– No, no – mruczał blady Migujew, siląc się na uśmiech – żartowałem sobie. To nie moje dziecko, tylko praczki Aksinii. Ja... ja żartowałem sobie.

Dzieło sztuki

Trzymając pod pachą paczkę, owiniętą w nr 223 „Wiadomości Giełdowych", wsunął się Sasza Smirnow do gabinetu doktora Koszelkowa.

– Ach, cóż za miły gość! – zawołał doktor. – Jakże się czujemy? Co pan powie nowego?

Sasza mrugnął oczyma, przyłożył rękę do serca i drżącym głosem zaczął:

– Mama się kłania i pozdrawia... Jestem jej jedynakiem i pan uratował mi życie, wyleczył z niebezpiecznej choroby... Nie wiemy, doprawdy, jak panu dziękować...

– Dosyć już, dosyć – bronił się doktor, nie posiadając się z radości. – Uczyniłem tylko to, co każdy inny uczyniłby na moim miejscu.

– Jestem jedynakiem i pan uratował mi życie... Jesteśmy ludzie biedni i oczywiście, nie możemy opłacić pańskiego trudu i... bardzo nam wstyd, panie doktorze, chociaż jednak mama i ja... jedyny syn... usilnie prosimy przyjąć w dowód wdzięczności... tę rzecz, która... Rzecz bardzo cenna, ze starego brązu... dzieło sztuki.

– Niepotrzebnie – bronił się doktor – no, i po cóż mi to?

– Nie, niech pan doktor nam nie odmawia – bełkotał Sasza – rozwijając paczkę. – Odmową obraziłby pan i mamę, i mnie... Rzecz bardzo ładna... ze starego brązu... Mamy ją jeszcze po ojcu nieboszczyku i przechowywaliśmy jak najdroższą pamiątkę. Ojciec mój skupował stare brązy i sprzedawał amatorom. Teraz ja z mamusią zajmujemy się tym samym...

Sasza rozwinął papier i z dumą postawił przedmiot na stole. Był to nieduży kandelabr ze starego brązu kunsztownej roboty. Wyobrażał grupę: na piedestale stały dwie postacie kobiece w strojach Ewy, w pozach, dla opisu których brak nam śmiałości. Postacie uśmiechały się zalotnie i sprawiały w ogóle takie wrażenie, że można by sądzić, że gdyby nie obowiązek podtrzymywania świecznika, zeskoczyłyby z piedestału i zrobiłyby w pokoju coś takiego, o czym nawet myśleć nie wypada.

Spojrzawszy na ten dar, doktor podrapał się z lekka za uchem i potarł nos.

– Tak, rzecz naprawdę prześliczna – wybełkotał – ale jakby to powiedzieć, nie tego... trochę zanadto nieliteracka... To już nie dekolt, lecz licho wie, co takiego...

– Panu się to nie podoba?

– Sam wąż-kusiciel nie wymyśliłby nic gorszego... Przecież postawić na stole taką... tego... fantasmagorię, znaczyłoby całe mieszkanie zapaskudzić.

– Jak pan dziwnie sądzi o sztuce – obraził się Sasza. – Przecież to dzieło sztuki, niech się pan przyjrzy. Tyle w tym piękna, że duszę opanowuje niezwykłe uczucie i łzy duszą w gardle. Patrząc na tak piękną rzecz, zapomina się o wszystkim na ziemi. Niech pan zwróci uwagę, jak wiele w tym ruchu ekspresji...

– Wszystko to doskonale rozumiem – przerwał doktor – ale niech pan sam osądzi: u mnie tu przecież dzieciaki biegają, bywają damy...

– Oczywiście, patrząc na to piękne dzieło sztuki z punktu widzenia tłumu – rzekł Sasza – przedstawi się ono zupełnie w innym świetle. Ale niech pan doktor stanie ponad tłumem, tym bardziej, że odmowa głęboko zasmuciłaby mnie i mamusię. Jestem jedynakiem, pan uratował mi życie... Oddajemy panu najdroższą

naszą rzecz i... żałuję tylko, że nie ma pary do tego pięknego kandelabra.

– Dziękuję bardzo, jestem szczerze wdzięczny... Proszę kłaniać się mamusi, ale naprawdę, niech pan osądzi, u mnie tu dzieciaki biegają, damy bywają. Zresztą, niech zostanie, pan tego i tak nie zrozumie.

– I tłumaczyć nie warto – ucieszył się Sasza. – Niech pan ten kandelabr tutaj postawi, tutaj, koło wazonu. Jaka szkoda, że nie ma pary! Jaka szkoda! Do widzenia, panie doktorze.

Po wyjściu Saszy, doktor długo drapał się za uchem i rozmyślał.

...Rzecz doskonała, ani słowa – myślał – wyrzucić – szkoda... a zostawić u siebie – niemożliwe... Hm... To dopiero łamigłówka! Komu by ją podarować?

Po długim namyśle przypomniał sobie dobrego znajomego, adwokata Uchowa, któremu był winien za prowadzenie sprawy.

...Doskonale – pomyślał doktor. – Jemu, jako przyjacielowi, nie wypada wziąć ode mnie pieniędzy, więc będę zupełnie w porządku, jeżeli mu coś zaniosę. Odwiozę mu to paskudztwo, jest nieżonaty, lekkomyślny...

Bez zwłoki przeto doktor ubrał się i pojechał z kandelabrem do Uchowa.

– Jak się masz, przyjacielu – rzekł, zastawszy adwokata w domu... – Przyszedłem podziękować ci za twoją pracę. Nie chcesz pieniędzy, to przynajmniej weź to. Przepiękna rzecz.

Ujrzawszy świecznik, adwokat wpadł w nieopisany zachwyt.

– A to dopiero! – zaśmiał się. – Niech ich diabli! Że też ludzie wymyślą coś podobnego. Nadzwyczajne! Zachwycające! Skąd ci to wydostał? – Wyraziwszy swój zachwyt, adwokat spojrzał lękliwie na drzwi, powiedział:

– Tylko, bracie, zabieraj swój prezent. Nie mogę tego przyjąć.

– Dlaczego? – przeląkł się doktor.

– A dlatego... U mnie tu bywa matka, klienci... nawet przed służącą byłoby mi wstyd.

– Nie, nie, nie... nie myśl nawet o odmowie, to byłoby świństwo. Obraziłbym się.

– Żeby choć zamazane było albo listki figowe poprzyczepiane...

Ale doktor machnął rękami, wybiegł szybko z mieszkania przyjaciela i zadowolony, że mu się udało pozbyć przedmiotu, pojechał do domu.

Po jego wyjściu, adwokat obejrzał świecznik, obmacał go ze wszystkich stron i podobnie, jak doktor, długo łamał sobie głowę, co zrobić z podarunkiem.

...Rzecz prześliczna – myślał – wyrzucić – szkoda, a trzymać u siebie – nieprzyzwoicie. Najlepiej komuś podarować... O, zaniosę ją dziś wieczorem komikowi Szaszkinowi. Lubi, kanalia, takie rzeczy, a dziś nawet jest jego benefis...

Uchow zrobił, jak postanowił. Wieczorem kandelabr, starannie owinięty, wręczony został Szaszkinowi. Przez cały wieczór w garderobie komika było pełno mężczyzn, którzy przychodzili oglądać prezent. Cały czas słychać było w garderobie hałas i śmiech, podobny do rżenia koni. Jeżeli do drzwi zbliżała się która z aktorek i pytała: – „Czy można?" – natychmiast dawał się słyszeć ochrypnięty głos komika: – „Nie, nie, jestem nieubrany!".

Po przedstawieniu komik wzruszył ramionami i mówił:

– Gdzież ja to świństwo podzieję? U mnie przecie artystki bywają. Fotografię – to jeszcze do szuflady schować można, a z tym?...

– A niech pan sprzeda – poradził fryzjer. – Tu niedaleko mieszka jedna staruszka, która kupuje stare brązy. Spytać się tylko trzeba o Smirnową, ją tam każde dziecko zna.

Komik usłuchał...

W dwa dni później doktor Koszelkow siedział w swym gabinecie i przyłożywszy palec do czoła, rozmyślał o kwasach żółciowych – nagle otworzyły się drzwi i do pokoju wpadł Sasza Smirnow. Uśmiechał się i cała jego postać promieniała szczęściem. W ręku trzymał coś owiniętego w gazetę.

– Panie doktorze – zaczął, nie mogąc złapać tchu. – Niech pan sobie wystawi moją radość. Udało nam się znaleźć parę do pańskiego kandelabra. Mamusia tak się ucieszyła. Jestem jej jedynym synem. Pan mi uratował życie...

I Sasza, drżąc z wdzięczności, postawił przed doktorem świecznik. Doktór otworzył usta, chciał coś powiedzieć, ale nie powiedział nic: mowę mu odjęło...

Szydło w worku

Trójką koni, bocznymi drogami, śpieszył, zachowując najściślejsze incognito, wezwany przez list anonimowy, Piotr Pawłowicz Posudin do powiatowego miasta N.

...Przyłapać... spaść, jak śnieg na głowę... – marzył, zakrywając twarz kołnierzem. – Narobili świństw, łajdaki, i triumfują zapewne, pewni, że zatarli wszelkie ślady. Ha-ha, wyobrażam sobie ich zdumienie i przerażenie, kiedy w pełni triumfu usłyszą: – „A dać mi tu Lapkina – Tiapkina". – To dopiero będzie popłoch. Ha-ha.

Uporawszy się z marzeniami, Posudin wszczął rozmowę ze swoim woźnicą. Jako człowiek żądny popularności, przede wszystkim zapytał o samego siebie:

– A Posudina znasz?

– Jakże nie mam znać – uśmiechnął się woźnica – znam go.

– Czemu się uśmiechasz?

– Dziwne pytanie, każdego najmarniejszego pisarza się zna, a nie znałoby się Posudina! Po to on tu jest, żeby go wszyscy znali.

– Masz słuszność. Co to za jeden, według ciebie? Dobry?

– Czemu nie... – ziewnął woźnica. – Dobry pan, rozumie się na rzeczy... Nie ma jeszcze dwóch lat, jak go tu przysłali, a już dużo zrobił.

– Cóż takiego szczególnego zrobił?

– Dużo dobrego zrobił, niech mu Bóg da zdrowie. Wystarał się o kolej żelazną. Chochriukowa usunął z naszego powiatu... Wszystko, co chciał, robił ten Chochriukow... Szelma był, cwaniak, wszyscy poprzednicy trzymali jego stronę, a przyjechał Posudin –

i Chochriukow poszedł do diabła, jakby go nie było... Tak, bracie... Posudina nie można przekupić, nie! Daj mu choć sto, choć tysiąc, a nie weźmie grzechu na sumienie... Nigdy.

...Bogu dzięki, że mnie choć z tej strony zrozumiano... – pomyślał Posudin. – To dobrze.

– Oświecony pan... – ciągnął dalej woźnica – i nie dumny. Nasi przyjechali do niego ze skargą, to on z nimi jakby z panami: wszystkim rękę podał – „Proszę siadać!" – Gorący taki, prędki... Słowa porządnie nie wymówi, a tylko – frt, frt! Żeby ci to zwyczajnie chodził albo jak – a tu ani, ani – tylko wciąż galop, galop! Nasi nie zdążyli mu nawet jeszcze nic powiedzieć, a on już: – „Konie!" – i wprost tutaj. Przyjechał i wszystko zrobił... ani grosza nie wziął... Daleko lepszy od poprzedniego. Rozumie się, i poprzedni był dobry. Okazały taki, znaczący: głośniej od niego nikt w całej guberni nie krzyczał... Jak dokąd przyjedzie, to o całe dziesięć wiorst z daleka słychać; ale co do spraw zewnętrznych albo wewnętrznych, to nowy jest zręczniejszy. Rozumu nowy ma daleko więcej... Jedna tylko bieda... Pod każdym względem dobry człowiek, tylko pijaczyna!

...Masz tobie! – pomyślał Posudin.

– Skąd ty wiesz, że ja... że on jest pijaczyną?

– Rozumie się... tego... proszę wielmożnego pana, sam go nie widziałem pijanego, kłamać nie będę, ale ludzie powiadają. Ludzie też go nie widzieli pijanego, ale taka o nim gadka krąży. Przy ludziach, albo gdy do kogo pojedzie z wizytą, albo na bal lub w towarzystwie – to nigdy nie pije... W domu chla... Wstanie rano, oczy przetrze i pierwsza rzecz – wódka! Lokaj przyniesie mu szklankę, a on już drugiej żąda... Tak cały dzień ciągnie. I dziwna rzecz: pije – i ani znać. Potrafi się, widać, trzymać... Kiedy bywało Chochriukow zaczynał pić, to nie tylko ludzie, ale i psy wyły. –

A Posudin – żeby mu choć nos się zaczerwienił. Zamknie się u siebie w gabinecie i żłopie. Żeby ludzie nie spostrzegli, urządził sobie w stole taką szufladkę z rurką. A w tej szufladce ciągłe jest wódka... Nachyli się, pociągnie przez rurkę – ot i pijany! W karecie też, w portfelu...

...Skąd oni to wiedzą – pomyślał z przerażeniem Posudin – mój Boże, nawet to wiadome! Co za ohyda!

– A także co do bab... szelma! – woźnica roześmiał się i pokręcił głową. – Paskudztwo – i tyle! Sześć sztuk ma tych... fląder. Dwie mieszkają u niego w domu. Jedna, Nastasja Iwanowna, jest u niego jakby gospodynią, druga – jak ją u licha? – Ludmiła Semionowna, jest w rodzaju sekretarki... Kręci nim, jak lis ogonem. Wielką ma władzę. I więcej się jej boją, jak jego... H-ha! A trzecia flądra na Kaczelnej ulicy mieszka... Wstyd!

...Nawet imiona znają – pomyślał Posudin, czerwieniąc się. – I kto? – Chłop, furman, który w mieście nigdy nie bywa... Co za ohyda!

– Skąd ty to wszystko wiesz? – spytał Posudin z rozdrażnieniem.

– Ludzie opowiadają... Sam nie widziałem, ale od ludzi słyszałem. Czyż to trudno się dowiedzieć? Lokajowi albo furmanowi języka się nie utnie... A może i sama Natalia chodzi po wszystkich zaułkach i chwali się swym babim szczęściem. Przed okiem ludzkim ukryć się nie można. Przyswoił sobie także ten Posudin zwyczaj potajemnie jeździć na śledztwo... Dawny, kiedy mu się zachciało dokąd pojechać, to na miesiąc przedtem dawał znać, a kiedy jedzie, to krzyku tego, hałasu, wrzawy, dzwonienia, niech Pan Bóg uchowa! I przed nim pędzą, i za nim pędzą, i z boku pędzą! Przyjedzie na miejsce, wyśpi się, napije i zaczyna gardło drzeć, wedle spraw urzędowych. Nadrze gardło, nogami natupie, znowu się wyśpi i w taki sam sposób wraca... A nowy, jak się o czym dowie, to stara

się jechać po cichutku, w sekrecie, prędko, żeby nikt nie widział i nie wiedział... Ko-o-media! Wychodzi z domu zawsze tylnymi drzwiami, żeby go urzędnicy nie spostrzegli, i dopiero na kolej... Dojedzie do stacji, jak trzeba, i stara się nająć nie pocztę albo co porządniejszego, lecz prostego chłopa, furmankę. Otuli się cały, jak baba, i całą drogę gada ochrypłym głosem, jak stary pies, żeby go po głosie nie poznano: po prostu kiszki bolą ze śmiechu, kiedy ludzie opowiadają. Jedzie, dureń, i myśli, że go nie można poznać. A nic łatwiejszego, jak go poznać, tyle co plunąć.

– A jakże go poznają?

– Zwyczajnie. Dawniej, kiedy nasz Chochriukow jeździł w sekrecie, tośmy go po ciężkiej łapie poznawali. Jeżeli pasażer bije po pysku, to już na pewno Chochriukow... A Posudina od razu poznać można... Zwykły podróżny, zachowuje się zwyczajnie, a Posudin nie taki, żeby zachowywać się po prostu. Przyjedzie, dajmy na to, na stację pocztową i zaczyna: to mu źle pachnie, to duszno, to mu zimno... Dawaj mu i kurczęta, i owoce, i konfitury... Na stacjach już wiedzą: jeżeli kto zimową porą żąda kurcząt i owoców, to już na pewno – Posudin. Jeżeli kto mówi do poczmistrza „mój przyjacielu" i pędza ludzi po różne drobiazgi – przysiąc można, że to Posudin... I pachnie od niego nie tak, jak od innych ludzi. I spać się kładzie na swój sposób. Położy się na kanapie, spryska koło siebie perfumami i każe obok poduszki postawić trzy świece. Leży i czyta papiery... Tu już nie tylko poczmistrz, ale i kot zmiarkuje, co za osoba...

...Prawda, prawda – pomyślał Posudin. – I dlaczego ja o tym przedtem nie wiedziałem?

– A komu trzeba ten i bez owoców, i bez kurcząt się dowie. Przez telegraf wszystko wiadomo... Niech otula mordę, jak chce, niech się chowa, a już wiedzą, że jedzie... Oczekują... Posudin może jeszcze

z domu nie wyszedł, a tam już wszystko wiedzą. Przyjedzie, żeby ich na gorącym uczynku przyłapać, oddać pod sąd albo usunąć, a oni się tylko wyśmiewają z niego. – „Chociaż przyjechałeś Wasza Wysokość po cichutku, a jednak u nas jest wszystko w zupełnym porządku". – Pokręci się, pokręci i wróci z czym przyjechał. I jeszcze ich pochwali, rękę poda wszystkim i przeprosi, że ich niepokoił. Takie są sprawy! Ho-ho, wielmożny panie, naród tu cwany, cwaniak na cwaniaku. – Aż miło patrzeć, co za diabły... Weźmy chociażby dzisiejszy wypadek. Jadę dziś rano bez pasażera, a na spotkanie pędzi Żyd, utrzymujący na stacji bufet... – „Dokąd to wasza żydowska mość jedzie?" – pytam, a on mówi: – „Do miasta N. Tam dziś Posudina oczekują". – Mądry Posudin może dopiero wybiera się w drogę albo otula twarz, żeby go nie poznano. Może już nawet jedzie i myśli, że nikt o tym nie wie, a dla niego, proszę pana, już przygotowano i wino, i siomgę, i ser, i różne zakąski!... Co? Jedzie sobie i myśli: – „Kaput wam, chłopcy!" – A chłopcy niewiele sobie z tego robią! Niech jedzie! Wszystko już pochowali.

– Zawracaj! – wrzasnął Posudin. – Zawracaj, bydlę!

I zdziwiony woźnica zawrócił.

W biurze pocztowym

Pochowaliśmy w tych dniach młodziutką żonę naszego starego poczmistrza Słodkopiewcewa. Zakopawszy w ziemi piękną zmarłą, udaliśmy się zwyczajem ojców i dziadów na stypę do biura pocztowego.

Gdy podano bliny, staruszek-wdowiec zaczął gorzko płakać i powiedział:

– Bliny takie rumianiutkie, jak nieboszczka. Takie piękne, jak ona. Akurat.

– Tak – zgodzili się biesiadnicy – rzeczywiście, piękna była. Kobieta – pierwsza klasa.

– Ta-ak... Wszyscy ją podziwiali... Ale kochałem ją nie za urodę i nie za łagodny charakter. Te cechy są w ogóle właściwe naturze kobiecej i spotykają się dość często na naszym padole. Kochałem ją za inną zaletę jej duszy. Mianowicie, kochałem nieboszczkę – świeć Panie nad jej duszą! – za to, że będąc z usposobienia żywa i lekkomyślna, była zawsze wierna swemu mężowi. Dochowywała mi wierności, chociaż miała zaledwie dwadzieścia lat, gdy tymczasem ja mam blisko sześćdziesiąt. Była wierna mnie, starcowi!

Diakon, który z nami był na uczcie, wymownym mrukiem i kaszlem wyraził co do tego powątpiewanie.

– Pan widocznie nie wierzy? – zwrócił się do niego wdowiec.

– Nie powiem, że nie wierzę – odrzekł zakłopotany diakon – a tak, wie pan, młode żony obecnie już zanadto tego... owego... – rendez-vous, sauce provençale.

– Pan wątpi, a ja panu dowiodę! Wzmacniałem jej wierność różnymi środkami, że tak powiem, strategicznej natury, w rodzaju fortyfikacji. Przy mojej taktyce i przebiegłości, nie mogła mnie w żaden sposób zdradzić. Uciekałem się do wybiegów, dla ochrony swego łoża małżeńskiego. Znam takie słowa, w rodzaju zaklęcia. Wyrzeknę te słowa i basta! – mogę spać spokojnie.

– Jakież to słowa?

– Bardzo proste. Rozpowszechniałem po mieście brzydką pogłoskę. Panowie znają doskonale tę pogłoskę. Mówiłem wszystkim: żona moja Alena żyje z policmajstrem Zalichwackim. Tych słów było dość! Nikt w świecie nie śmiał uwijać się koło żony z obawy przed policmajstrem. Gdy ją kto zobaczył z daleka, uciekał, co sił, żeby Zalchiwacki czego nie pomyślał. He-he-he... Niechby tylko spróbował zaczepić tego wąsatego draba – zaraz miałby z pięć protokołów z powodu stanu sanitarnego.

– A więc żona pańska nie żyła z Zalichwackim?! – zdumieli się wszyscy.

– Nie, to był mój wybieg... He-he-he! Zręcznie was oszukałem, młodzi. Co?

Trzy minuty przeszły w milczeniu. Siedzieliśmy z zamkniętymi ustami, odczuwając wstyd i upokorzenie, że tak chytrze nas nabrał ten tłusty starzec z czerwonym nosem.

– No, da Bóg, ożeni się pan powtórnie – mruknął diakon.

W złym humorze

Komisarz okręgowy Semion Ilicz Praczkin chodził z kąta w kąt po swoim pokoju i starał się stłumić w sobie nieprzyjemne uczucie. Wczoraj pojechał w sprawach urzędowych do naczelnika wojskowego, zasiadł przypadkowo do kart i przegrał osiem rubli. Suma nieznaczna, drobna, ale diablik chciwości i pożądliwości siedział w uchu komisarza i robił mu wymówki za rozrzutność.

– Osiem rubli – wielka rzecz! – tłumił w sobie Praczkin tego diablika. – Ludzie więcej przegrywają i nic... Poza tym, pieniądze – to rzecz do zdobycia. Pojedzie się raz do fabryki albo do traktierni na łowy – osiem rubli gotowe, a nawet jeszcze więcej.

– „Zima... Włościanin uroczyście..." – monotonnie kuł w sąsiednim pokoju syn komisarza, Wania. – „Włościanin uroczyście... saniami pierwszy znaczy ślad..."

– I odegrać się można... Co to tam „uroczyście"?

– „...Włościanin uroczyście... znaczy ślad... znaczy ślad..."

...Uroczyście... – rozmyśla dalej Praczkin. – Wsypałbym mu dziesięć batów, to by nie bardzo był uroczysty. Zamiast być uroczystym, lepiej by podatki płacił. Osiem rubli – wielka rzecz! To nie osiem tysięcy. Zawsze można się odegrać!...

– „...Kobyłka, śnieg pod stopą czując... stopą czując, kłusem przebiega..."

...Może ma galopem pędzić? Jaki się kłusak znalazł, proszę bardzo! Szkapa – szkapą zostanie. Dureń chłop, gotów po pijanemu pędzić konia, a jak wpadnie do przerębla albo do parowu, to tylko z nim kłopot. Pędź, pędź mi tylko, to ci taką nauczkę dam, że pięć lat

popamiętasz!... I po com z małej wyszedł? Gdybym był wyszedł z asa trefl – nie byłbym bez dwóch.

– „...Pryskając wokół śnieżnym puchem, kibitka śmiga żywym ruchem... pryskając wokół śnieżnym puchem..."

...„Pryskając śnieżnym puchem"... Też ktoś taką rzecz wymyślił!... I pozwalają to pisać, Boże, zmiłuj się! A wszystkiemu winna ta dziesiątka! Diabli ją przynieśli nie w porę!

– „...Na folwarku biega malec... malec... w saneczki gwałtem wsadził psa... wsadził..."

...To znaczy, że się najadł, kiedy biega i zbytkuje... A rodzice nie mają tyle rozumu, żeby go do pracy zasadzić. Zamiast psa wozić, lepiej by drzewo rąbał albo Pismo Święte czytał... I psów się też rozpłodziło – ani przejść. Nie powinienem był po kolacji siadać. Zjeść kolację i odjechać.

– „...Choć ból doskwiera, mknie, co tchu, a matka z okna grozi mu..."

...Grozi, grozi... A nie chce jej się wyjść na dwór i ukarać... Podnieść kożuszek i czyk-czyk, czyk-czyk! To jest lepsze, jak palcem grozić... Jeszcze z niego pijak wyrośnie. Kto to napisał? – zapytał głośno Praczkin.

– Puszkin, tatusiu.

– Puszkin? Hm... Jakiś dziwak. Piszą, piszą, a sami nie wiedzą co. Aby pisać.

– Tatusiu, chłop przywiózł mąkę.

– Przyjąć.

Ale i mąka nie rozweseliła Praczkina. Im więcej starał się pocieszyć, tym dotkliwiej odczuwał stratę. Tak mu było szkoda ośmiu rubli, tak szkoda, jak gdyby rzeczywiście przegrał osiem tysięcy. Kiedy Wańka skończył lekcję i umilkł, Praczkin stał przy oknie i ze smutkiem spoglądał na stosy śniegu. Widok śniegu tylko

jątrzył ranę jego serca. Przypominał mu o wczorajszej wyprawie do naczelnika wojskowego. Żółć w nim wezbrała i podeszła pod serce.

Potrzeba wyładowania na czymś swego niezadowolenia dosięgła stopnia, niecierpiącego zwłoki. Nie wytrzymał...

– Wania! – krzyknął. – Chodź tu, dostaniesz w skórę za to, żeś wczoraj stłukł szybę!

Zagadkowa natura

Przedział klasy pierwszej.

Na kanapie, krytej aksamitem barwy amarantowej, na wpół leży przystojna kobietka. Drogi wachlarz z frędzlą trzeszczy w jej nerwowo ściśniętej pięści, binokle co chwila spadają z jej łagodnego noska, broszka na piersiach to się podnosi, to opada, jak czółno wśród fal... Jest podniecona... Naprzeciw niej, na kanapie, siedzi urzędnik do szczególnych poruczeń przy gubernatorze, młody, początkujący literat, autor, drukujący w „Wiadomościach Gubernialnych" niewielkie opowiadania albo, jak je sam nazywa, „nowele" z życia eleganckiego świata.

Patrzy na jej twarz przenikliwie, z miną znawcy, przygląda się podróżnej. On obserwuje, studiuje, przenika jej ekscentryczną, zagadkową naturę, rozumie, chwyta...

– O ja panią rozumiem! – mówi, całując ją w rękę koło bransoletki. – Dusza pani, subtelna i wrażliwa, szuka wyjścia z labiryntu... Tak, to jest straszna, chimeryczna walka, ale niech pani nie upada na duchu! Pani zwycięży! Bezwarunkowo!

– Opisz mnie pan, panie Waldemarze – mówi dama ze smutnym uśmiechem. – Życie moje jest tak pełne, tak wielobarwne, takie rozmaite... A co najważniejsze – jestem nieszczęśliwa! Jestem męczennicą w stylu Dostojewskiego... Niech pan pokaże światu moją duszę. Pan jest głęboki. Nie ma jeszcze godziny, jak tu siedzimy i rozmawiamy, a pan już mnie zrozumiał zupełnie, całkowicie!

– Niech pani mówi, błagam, niech pani mówi!

– Więc proszę słuchać. Urodziłam się w biednej urzędniczej rodzinie. Ojciec, dobry człowiek, inteligentny, ale... duch czasu i środowiska... *vous comprenez*, nie oskarżam mego biednego ojca. Pił, grał w karty... brał łapówki... Matka zaś... co tu mówić! Bieda, walka o kawałek chleba, świadomość własnej nędzy... Ach, niech mnie pan nie zmusza do przypominania! Musiałam sama sobie torować drogę... Potworne wychowanie w instytucie, czytanie głupich romansów, błędy młodości, pierwsza nieśmiała miłość... A walka z otoczeniem? Okropne! A wątpliwości? A męki rodzącej się niewiary w życie, w siebie?... Ach! pan jest literatem i zna nas, kobiety. Pan zrozumie... Na nieszczęście, jestem naturą szeroką... Oczekiwałam innego szczęścia! Pragnęłam być człowiekiem! Tak! Być człowiekiem – w tym upatrywałam szczęście!

– Cudowna – bełkocze literat, całując rękę koło bransoletki. – Nie panią całuję, urocza istoto, lecz cierpienie ludzkie! Pamięta pani Raskolnikowa? – On tak całował.

– O, Waldemarze, byłam spragniona sławy, rozgłosu, blasku, jak każda – po co udawać skromnisię – jak każda, nietuzinkowa natura. Pożądałam czegoś niezwykłego, niekobiecego! I oto... i oto... nawinął się na mej drodze bogaty staruszek, generał... Zrozum mnie pan, panie Waldemarze! Przecież to była ofiara, było to wyrzeczenie się siebie – niech pan zrozumie! Nie mogłam inaczej postąpić. Wzbogaciłam rodzinę, zaczęłam podróżować, pomagać ubogim... A jak cierpiałam, jak nie do zniesienia wstrętne były dla mnie objęcia tego generała, chociaż, trzeba mu to przyznać, w swoim czasie walczył mężnie. Bywały chwile... okropne chwile! Ale podtrzymywała mnie myśl, że staruszek dziś-jutro umrze, że zacznę żyć, jak chciałam, oddam się ukochanemu człowiekowi, będę szczęśliwa... A mam takiego człowieka, Woldemarze! Bóg świadkiem, jest taki!

Dama porusza gwałtownie wachlarzem. Twarz przybiera płaczliwy wyraz.

– Ale oto staruszek umarł... Zostawił mi coś niecoś i jestem wolna, jak ptak. Teraz mogłabym żyć szczęśliwie... Czy nie tak, Waldemarze? Szczęście stuka do mego okna, trzeba je tylko wpuścić... ale nie! Słuchaj mnie pan, panie Waldemarze, zaklinam pana! Teraz właśnie oddać się kochanemu człowiekowi, stać się jego towarzyszką, pomocnicą, wyznawczynią jego ideałów, być szczęśliwą... odpocząć... Ale jak wszystko jest wstrętne, niskie, głupie na tym świecie! Jak wszystko jest podłe, Waldemarze! Jestem nieszczęśliwa, nieszczęśliwa, nieszczęśliwa! Na drodze mojej znowu stoi przeszkoda! Znowu czuję, że szczęście moje daleko, daleko! Ach, gdyby pan wiedział, ile męczarni, ile męczarni!

– Ale cóż takiego? Co stanęło na drodze pani? Błagam panią, niech pani powie! Co?

– Drugi bogaty staruszek...

Połamany wachlarz zasłania ładniutką twarzyczkę. Literat podpiera ręką głowę, pełną głębokich myśli. Wzdycha i z miną znawcy-psychologa zamyśla się.

Parowóz świszcze, skrzypi, a firanki w oknie czerwienią się od zachodzącego słońca.

Kameleon

Przez rynek idzie przodownik policji Oczumiełow, w nowym płaszczu, z zawiniątkiem w ręku. Za nim kroczy rudy posterunkowy, niosąc sito, po brzegi napełnione skonfiskowanym agrestem... Cicho naokoło... Na rynku ani żywej duszy... Rozwarte drzwi sklepów i szynków spoglądają na świat Boży, jak zgłodniałe paszcze, nawet żebraków nie ma koło nich.

– To ty będziesz kąsać, przeklęty! – słyszy nagle Oczumiełow. – Trzymajcie go. Teraz nie wolno kąsać! A... a!

Słychać skowyczenie psa, Oczumiełow ogląda się i widzi, że ze składu drzewa kupca Pieczugina, skacząc na trzech łapach i oglądając się, pędzi pies. Za nim goni człowiek w kretonowej krochmalonej koszuli i rozpiętej kamizelce. Biegnie za nim, pochyla się ku przodowi, pada i łapie psa za tylne nogi. Znowu daje się słyszeć skowyczenie i okrzyk: – „Łapaj!" – Ze sklepów wysuwają się zaspane fizjonomie i wkrótce koło składu drzewa, jak wyrosły spod ziemi, zbiera się tłum.

– Coś jakby nieporządek, Wasza Wielmożność – mówi posterunkowy, Oczumiełow robi pół obrotu w lewo i kieruje się w stronę tłumu. Widzi, że u samych wrót składu stoi wyżej wspomniany człowiek w rozpiętej kamizelce i podniósłszy do góry prawą rękę, pokazuje tłumowi skrwawiony palec. Na jego wpółpijanej twarzy jakby kto wypisał: – „Już ja cię obrobię, szelmo!" – a sam palec wygląda, jak sztandar zwycięstwa. W człowieku tym Oczumiełow poznaje jubilera Chriukina. W środku tłumu, rozkroczywszy przednie nogi i drżąc na całym

ciele, siedzi na ziemi sprawca skandalu, biały, młody chart, z zaostrzoną mordą i żółtą plamą na plecach. Jego łzawiące się oczy wyrażają ból i przerażenie.

– Z jakiej przyczyny to wszystko? – zapytuje Oczumiełow, wciskając się w tłum. – Co wy tu robicie? Po co ten palec?... Kto krzyczał?

– Idę sobie, Wasza Wielmożności, nikogo nie czepiam... – zaczyna Chriukin, kaszląc w kułak – z Mitriem Mitriczem wedle drzewa, a wtem, nagle, ten podły, ni stąd, ni zowąd, cap za palec. Jestem, za przeproszeniem, człowiek pracujący... Robotę mam drobną. Niech mi teraz zapłacą, bo ja tym palcem może przez tydzień nie będę mógł ruszyć... Tego w prawie nie ma, żeby znosić od byle stworzenia... Jeżeli każdy będzie kąsał, to lepiej nie żyć na świecie.

– Hm!... Dobrze... – mówi Oczumiełow, surowo kaszląc i marszcząc brwi. – Dobrze... Czyj to pies? Ja tego nie daruję. Ja wam pokażę, co to znaczy tak rozpuszczać psy! Czas nareszcie zwrócić uwagę na tych panów, którzy nie chcą się stosować do przepisów. Jak na niego, łajdaka, karę nałożę, to zobaczy, co znaczy pies i inny tego rodzaju błędny zwierz. Ja go nauczę!... Jełdyrin – zwraca się przodownik do posterunkowego – dowiedz się, czyj to pies i pisz protokół! A psa trzeba zgładzić! Bezzwłocznie! Na pewno wściekły... Czyj to pies, pytam się?

– To, zdaje się, generała Żygałowa – mówi ktoś z tłumu.

– Generała Żygałowa? Hm... – Jełdyrin, zdejm ze mnie palto... Strasznie gorąco. Zapewne na deszcz. Tego tylko nie rozumiem, jak ten pies mógł ciebie ugryźć? – zwraca się Oczumiełow do Chriukina. – Czyż on może dosięgnąć do palca? On jest mały, a z ciebie – ot jaki drab! Prawdopodobnie skaleczyłeś sobie palec o gwóźdź, a potem przyszła ci myśl do głowy, żeby zarobić na tym interesie. Znany jesteś! Znam was, czorty jedne!

– On go, proszę Waszej Wielmożności, papierosem w mordę dla żartu, a ten niegłupi – cap go... Niemądry człowiek, Wasza Wielmożności.

– Łżesz, jednooki! Nie widziałeś, więc czego łżesz? Jego Wielmożność jest człowiek uczony i rozumie, kiedy kto kłamie, a kiedy kto wedle sumienia, jak przed panem Bogiem... A jeżeli kłamię, to niech sędzia pokoju rozstrzygnie. U niego w prawie jest napisane... Teraz wszyscy są równi... Ja też mam brata żandarma, jeżeli chcecie wiedzieć.

– Nie rezonować!

– Nie, to nie generalski – rzekł poważnie posterunkowy. – U generała takich nie ma. On trzyma tylko wyżły.

– Wiesz na pewno?

– Na pewno, Wasza Wielmożności.

– Ja sam też wiem. Generał ma psy drogie, rasowe, a to – diabli wiedzą, co takiego! Ani sierści, ani wyglądu... słowem paskudztwo... I takiego psa trzymać?! Gdzie rozum? Gdyby się trafił taki pies w Petersburgu albo w Moskwie, to wiecie, co by było? Tam by się nie liczyli z prawem, lecz w jednej chwili – zgiń! Ty, Chriukinie, ucierpiałeś i sprawy tej tak nie zostawiaj... Trzeba pokazać! Czas...

– A może i generalski – rozmyślał głośno posterunkowy. – Na mordzie nienapisane... Onegdaj widziałem taką psinę u niego na podwórku.

– Rozumie się, że generalski! – mówi ktoś z tłumu.

– Hm!... Włóż no mi palto, Jełdyrin... Wiatr skądciś powiał... Chłodno... Odprowadzisz go do generała i spytasz, czy to nie jego pies. Powiesz, że ja go znalazłem i przysyłam... Powiedz też, żeby go na ulicę nie wypuszczali... Może to drogi pies, a jeżeli mu każda świnia będzie papierosem tykać w mordę, to nietrudno go zmarnować. Pies, to delikatne stworzenie... A ty, durniu, opuść rękę!

Nie masz co swojego głupiego palca wystawiać na pokaz! Sam jesteś sobie winien.

– Oto idzie kucharz generała, jego się spytamy... Hej, Prochorze! Chodź no tu! Spójrz na psa... To wasz?

– Też wymyślił! Takich u nas nigdy nie było.

– Nie ma się co i pytać – mówi Oczumiełow. – To włóczęga! Co tu dużo gadać... Jeżeli powiedziałem, że włóczęga, to włóczęga... – Zabić – i koniec.

– To nie nasz – ciągnie dalej Prochor. – Ten należy do brata generała, co do nas przyjechał. Nasz nie jest amatorem chartów. Co innego jego brat.

– Czyż brat generała przyjechał? Włodzimierz Iwanycz? – zapytuje Oczumiełow – i całą jego twarz opromienia słodki uśmiech. – Masz tobie! A ja nic nie wiedziałem. Przyjechał w gościnę?

– W gościnę.

– Ach, mój Boże... Stęsknił się za bratem... A ja nic nie wiedziałem! Więc to jego piesek? Bardzo mnie cieszy... Weź go... Piesek niczego... Rezolutny taki... Cap tego draba za palec... Ha-ha-ha... No, czemu drżysz? Rrr... rr... Złości się, szelma... Delikacik!

Prochor woła psa i odchodzi z nim od składu... Tłum śmieje się z Chriukina.

– Jeszcze się do ciebie dobiorę – grozi mu Oczumiełow i owinąwszy się w płaszcz, na nowo rozpoczyna wędrówkę po rynku.

Żarcik

Słoneczne zimowe południe. Jest silny trzaskający mróz i kędziorki na skroniach oraz puszek na górnej wardze Nadzieńki, która trzyma mnie pod rękę, pokrywają się srebrzystym szronem. Stoimy na wysokiej górze. U naszych stóp ściele się pochyła płaszczyzna, w której słońce przegląda się, jak w lustrze. Obok nas małe saneczki, obite jasnoczerwonym suknem.

– Zjedźmy na dół, Nadzieżdo Pietrowno, błagam. Tylko raz jeden. Zapewniam panią, że nic nam się nie stanie.

Ale Nadzieńka boi się. Cała przestrzeń od jej malutkich kaloszy do końca lodowej góry wydaje się straszną, niezmiernie głęboką przepaścią. Skoro tylko proponują jej, by wsiadła do saneczek, serce zamiera i oddech się zapiera już wówczas, kiedy spogląda na dół, a cóż dopiero byłoby, gdyby zaryzykowała polecieć w przepaści. Umarłaby, zwariowała!

– Błagam panią, mówię... Nie trzeba się bać. Zrozum pani, że to jest tchórzostwo, brak charakteru.

Nadzieńka nareszcie ustępuje i po jej twarzy widzę, że ustępuje z narażeniem życia. Wsadzam ją bladą, drżącą do sanek, obejmuję ręką i razem z nią staczam się w przepaść. Sanki pędzą, jak strzała. Rozcinane powietrze bije po twarzy, wyje, szumi w uszach, szarpie, szczypie boleśnie, chce zerwać nam głowy. Pęd powietrza zapiera nam oddech. Zda się, że szatan porwał nas w swe objęcia i z wyciem ciągnie do piekła. Otaczające przedmioty zlewają się w jedną długą, niepowstrzymanie biegnącą linię. Jeszcze jedna chwila i zdaje się, zginiemy!

– Kocham cię, Nadziu! – mówię półgłosem.

Sanki zaczynają zwalniać biegu, wycie wiatru i skrzypienie płozów nie są już tak straszne, oddech przestaje zamierać i jesteśmy nareszcie na dole...

Pomagam jej wstać.

– Za nic w świecie więcej nie pojadę – mówi, patrząc na mnie szerokimi, pełnymi przerażenia oczyma. – Za nic w świecie! O mało nie umarłam.

Po pewnym czasie przychodzi do siebie i już zagląda mi w oczy pytająco: czy powiedziałem owe trzy słowa, czy też przywidziały się jej w szumie wiatru?...

A ja stoję obok, palę papierosa i uważnie przyglądam się mojej rękawiczce.

Bierze mnie pod rękę i długo przechadzamy się koło góry. Zagadka widocznie nie daje jej spokoju. Czy te słowa zostały powiedziane, czy nie? Tak, czy nie? Tak, czy nie? Jest to kwestia ambicji, honoru, życia, szczęścia, kwestia niezwykle ważna, najważniejsza na świecie. Nadzia żałośnie, przenikliwie zagląda mi w oczy, odpowiada ni w pięć, ni w dziesięć, czeka, czy nie zacznę mówić. Ach, co za gra uczuć na jej twarzy, co za gra! Widzę, że walczy ze sobą, że chce jej się coś powiedzieć, o coś zapytać, ale nie znajduje słów, jest jej nieswojo, strasznie, przeszkadza jej radość...

– Wie pan co? – mówi, nie patrząc na mnie.

– Co? – zapytuję.

– Przejedźmy się jeszcze raz.

Wchodzimy na górę po schodach. Znowu sadzam drżącą, bladą Nadzieńkę do sanek, znowu pędzimy w straszną przepaść, znowu wiatr wyje i skrzypią płozy i znowu przy najsilniejszym, najhałaśliwszym rozpędzie sanek, mówię półgłosem:

– Kocham cię, Nadzieńko!

Kiedy sanki się zatrzymują, Nadzia ogarnia wzrokiem górę, po której dopiero co pędziliśmy, potem długo przygląda się mojej twarzy, wsłuchuje się w mój obojętny, spokojny głos i cała, cała ona, nawet jej mufka, baszłyk, cała jej postać wyrażają niezwykłe zdumienie. Na twarzy jej jest napisane: „Co to jest? Kto powiedział te słowa? Czy on, czy też przywidziało mi się tylko?"

Ta niepewność pozbawia ją spokoju, wytrąca z równowagi. Biedna dziewczyna nie odpowiada na pytania, twarz jej się chmurzy, gotowa się rozpłakać.

– Czy nie czas do domu? – zapytuję.

– A mnie... mnie się podoba ta jazda – mówi, rumieniąc się. – Czybyśmy się nie przejechali jeszcze raz?

Jej „podoba się" ta jazda, a gdy siada do sanek, jest blada, ledwo dyszy ze strachu, drży.

Zjeżdżamy po raz trzeci i ja widzę, jak ona patrzy mi w twarz, śledzi ruchy moich warg. Ale przykładam chustkę do ust, kaszlę i gdy dosięgamy środka góry, mówię:

– Kocham cię, Nadziu!

I zagadka zostaje zagadką. Nadzia milczy, myśli o czymś...

Odprowadzam ją do domu; stara się iść nieprędko, zwalnia kroku i wciąż oczekuje, czy nie wypowiem tych słów.

I widzę, jak cierpi jej dusza, jak czyni nad sobą wysiłek, by nie powiedzieć:

– Niemożliwe, żeby to mówił wiatr! Ja nie chcę, żeby to mówił wiatr!

Na drugi dzień rano otrzymuję liścik: „Jeżeli pan pójdzie dziś na saneczki, to niech pan po mnie wstąpi. N."

I od tego dnia zaczynam co dzień chodzić z Nadzią na saneczki i pędząc na dół, za każdym razem wymawiam półgłosem te same

słowa:

– Kocham cię, Nadziu!

Wkrótce Nadzia przyzwyczaiła się do tego frazesu, jak do wódki albo morfiny. Nie może żyć bez niego. Prawda, lecieć z góry, jest w dalszym ciągu straszną rzeczą, ale obecnie strach i niebezpieczeństwo nadają szczególnego uroku słowom miłości, które wciąż są jeszcze zagadką i dręczą duszę. Podejrzenie wciąż jeszcze pada na dwoje: na mnie i na wiatr. Kto z nas dwojga wyznaje jej miłość – nie wie, ale jest to jej już widocznie obojętne: wszystko jedno, z jakiego pić naczynia – byle być pijanym.

Pewnego razu, udałem się na tor saneczkowy sam jeden; zmieszawszy się z tłumem, widzę, jak ku górze podchodzi Nadzia, jak szuka mnie oczyma. Potem lękliwie wchodzi po schodach na górę. Strasznie jest jechać samej, och, jak strasznie! Jest blada, jak śnieg, drży, idzie jakby na stracenie, ale idzie, nie oglądając się, stanowczo. Widocznie zdecydowała się nareszcie spróbować, czy dadzą się słyszeć te cudowne, słodkie słowa, kiedy mnie nie będzie? Widzę, jak blada, z rozwartymi z przerażenia oczyma siada do sanek, zamyka oczy i pożegnawszy się na wieki z ziemią, rusza z miejsca. Ssss... skrzypią płozy... Czy Nadzia słyszy owe słowa – nie wiem... Widzę tylko, że wstaje z sanek, wyczerpana, osłabiona. I znać po jej twarzy, że sama nie wie, czy coś słyszała, czy też nie?... Podczas gdy pędziła na dół, strach pozbawił ją zdolności słyszenia, rozróżniania dźwięków, rozumienia...

Ale oto następuje wiosenny miesiąc marzec. Słońce staje się łaskawsze. Nasza lodowa góra ciemnieje, traci blask i topnieje wreszcie. Przestajemy saneczkować. Biedna Nadzieńka już nie ma gdzie słyszeć tych słów, bo wiatr ucichł, a ja wyjeżdżam do Petersburga – na długo, może na zawsze.

Dwa dni przed wyjazdem o zmroku siedzę w ogródku, oddzielonym wysokim parkanem od podwórka domu, w którym mieszka Nadzieńka... Jeszcze jest dość chłodno, pod nawozem jeszcze leży śnieg, drzewa są martwe, ale już pachnie wiosną i gawrony, układając się do snu, krzyczą głośno.

Zbliżam się do parkanu i długo patrzę przez szczelinę. Widzę, jak Nadzieńka wychodzi na ganek i kieruje smutne, tęskne spojrzenia na niebo... Wiosenny wiatr dmie jej wprost w bladą, ponurą twarz. Przypomina jej o tamtym wietrze, który huczał wtedy na górze, kiedy słyszała owe trzy słowa – i twarz jej staje się smutna, smutna, a po twarzy spływa łza... I biedna dziewczyna wyciąga obie ręce, jakby prosząc wiatru, żeby przyniósł jej jeszcze raz te słowa. A ja, doczekawszy się powiewu wiatru, mówię półgłosem:

– Kocham cię, Nadziu!

Boże drogi, co staje się z Nadzią? Wydaje okrzyk, uśmiecha się całą twarzą i wyciąga ręce ku wiatrowi, radosna, szczęśliwa, taka ładna.

A ja idę się pakować do drogi.

To było już dawno. Teraz Nadzieńka jest już mężatką; czy wydano ją, czy sama wyszła za drobnego urzędnika – to nie ma znaczenia... ma troje dzieci. Ale tego, jakiśmy chodzili na saneczki, jak wiatr przynosił jej słowa: – „Kocham cię, Nadzieńko!" – nie zapomniała; jest to dla niej teraz najszczęśliwsze, najtkliwsze i najpiękniejsze wspomnienie całego życia.

A ja sam teraz, kiedy jestem starszy, już nie rozumiem, po com mówił owe słowa, po com żartował...

Syrena

Po jednym z posiedzeń zjazdu sędziów pokoju w N..., członkowie zjazdu zebrali się w sali narad, żeby zdjąć mundury, nieco wypocząć, a potem pojechać do domu na obiad.

Prezes zjazdu, imponujący mężczyzna z faworytami, który w jednej z właśnie osądzonych spraw zgłosił *votum separatum*, siedział przy stole i pośpiesznie pisał owo *votum*. Okręgowy sędzia pokoju Miłkin, młody człowiek o smętnym, marzycielskim wyrazie twarzy, uchodzący za filozofa niezadowolonego z otoczenia i poszukiwacza celów życia, stał przy oknie i ze smutkiem spoglądał na dziedziniec. Drugi sędzia okręgowy i dwaj honorowi – już odeszli. Pozostali – jeden sędzia honorowy, otyły, z obrzękłą twarzą i ciężkim oddechem, oraz pomocnik prokuratora, młody człowiek, o obliczu zakatarzonego – siedzieli na kanapie i czekali, aż prezes skończy pisać, by razem pojechać na obiad.

Koło nich stał sekretarz zjazdu Żylin, mały człowieczek z baczkami koło uszu, z wyrazem słodyczy na twarzy. Uśmiechając się słodko i patrząc na tłuściocha, mówił półgłosem.

– Wszyscy jesteśmy teraz głodni, jesteśmy zmęczeni i jest już po trzeciej, ale, dobroczyńco mój Grzegorzu Sawiczu, nie jest to prawdziwy apetyt. Prawdziwy wilczy apetyt, kiedy, zda się, zjadłbyś rodzonego ojca, zjawia się tylko po wysiłkach fizycznych, po polowaniu z chartami albo gdy się tak odwali końmi ze sto wiorst bez przerwy. Dużą rolę gra też wyobraźnia. Jeżeli, dajmy na to, wracasz z polowania i chcesz zjeść obiad z apetytem, nie należy nigdy myśleć o rzeczach mądrych. Mądre i uczone sprawy

zawsze psują apetyt. Sam pan wie, że uczeni i filozofowie są w paragrafie jedzenia ludźmi ostatniego gatunku – gorzej od nich nawet, za przeproszeniem, świnie nie jadają. Kiedy się jedzie do domu, to trzeba, żeby głowa była zajęta tylko karafką i zakąską. Raz w drodze przymykam oczy i wyobrażam sobie prosiątko z chrzanem, to, uwierzy pan, o mało nie dostałem ataku histerycznego. A więc, kiedy pan zajeżdża przed dom, trzeba, żeby z kuchni dolatywał jakiś taki zapach, wie pan...

– Pieczone gęsi pachną cudownie – powiedział sędzia honorowy, ciężko dysząc.

– Nie mówcie tak, drogi Grzegorzu Sawiczu, kaczka albo bekas mogą dziesięć oczek fory dać gęsi. W gęsim zapachu nie ma tej delikatności, subtelności. Najwięcej przejmująco pachnie młoda cebulka, kiedy, wie pan, zaczyna się podsmażać i rozumie pan, syczy, szelma, na cały dom... Dalej, gdy wchodzisz do domu, stół powinien być już nakryty, a gdy siadasz do stołu, zaraz serwetkę za krawat i bez pośpiechu, z rozmysłem, wyciągnąć rękę do karafki z wódeczką. Lecz nalewaj ją, pieszczotkę, nie do kieliszka, tylko do jakiejś takiej przedpotopowej familijnej czarki ze srebra i pij nie od razu, lecz z początku westchnij, zatrzyj ręce, spójrz obojętnie na sufit, a potem tak, powoli, podnieś wódeczkę do warg i – natychmiast z żołądka po całym ciele rozchodzą się jakby iskry...

Po słodkiej twarzy sekretarza rozlał się wyraz błogości.

– Słuchaj pan – powiedział prezes, podnosząc oczy na sekretarza – mów pan ciszej: już drugi arkusz przez pana psuję.

– Ach, przepraszam, Piotrze Mikołajewiczu, będę cicho – odpowiedział sekretarz i ciągnął dalej półszeptem. – Potem, Grzegorzu Sawiczu, należy zakąsić, ale nie byle jak. Trzeba wiedzieć czym.

Najlepsza zakąska, jeżeli pan chce wiedzieć, to śledź. Zjadł pan kawałek śledzia z cebulką, z sosem musztardowym i natychmiast, póki pan jeszcze czuje iskry w żołądku, jedz, dobrodzieju, kawior, sam albo jeżeli wolisz, z cytrynką, potem – zwyczajną rzodkiewkę z solą, potem znowu śledzie, ale najlepiej – solone rydze... jeżeli je drobno pokrajać, jak kawior, i rozumie pan, z cebulą, z oliwą... palce lizać...

– Tak... – zgodził się sędzia honorowy, mrużąc oczy. – Na zakąskę dobre są też... tego... duszone białe grzyby.

– Tak, tak, tak! Z cebulką, wie pan, z liściem bobkowym i różnymi korzeniami. Zdejmuje się pokrywkę z rondla, a tu z niego para bucha, zapach grzybów... czasem nawet łzy się cisną! Więc, jak tylko z kuchni przyniosą kulebiakę, trzeba wypić po raz drugi.

– Iwanie Guriczu! – wyrzekł płaczącym głosem prezes. – Przez pana już trzeci arkusz zepsułem.

– Licho go nadało, tylko o jedzeniu myśli – mruknął filozof Miłkin, robiąc pogardliwą minę. – Czyż oprócz grzybów i kulebiaki nie ma już innych spraw na świecie?

– Tak, przed kulebiaką trzeba wypić – ciągnął dalej półgłosem sekretarz; tak się już zapalił, że jak śpiewający słowik, nie słyszał własnego głosu. – Kulebiaka musi być apetyczna, bezwstydna w całej swej nagości, żeby rodziła pokusę. Mrugniesz na nią okiem, odkraj sobie kawał i palcami nad nią strzepnij z nadmiaru uczuć. Zaczynasz jeść kulebiakę, a z niej wycieka masło, jakby łzy, nadzienie tłuste, soczyste, z jajkami, flakami, cebulą.

– Sekretarz wzniósł oczy ku górze i rozciągnął usta od ucha do ucha. Sędzia honorowy cmoknął i widocznie wyobrażając sobie kulebiakę, wykonał ruch palcami.

– Diabli wiedzą, co on plecie – mruknął okręgowy, odchodząc do drugiego okna.

– Gdy już zjadłeś dwa kawałki – trzeci należy zachować do kapuśniaku – ciągnął dalej w natchnieniu sekretarz. – Jak tylko upora się człek z kulebiaką, natychmiast, by nie przerwać apetytu, trzeba kazać podać kapuśniak... Kapuśniak musi być gorący, ognisty. Ale najlepszy jest, dobroczyńco mój, barszczyk małoruski z szyneczką i serdelkami. Podaje się do niego śmietana i świeża pietruszka z koperkiem. Dobry też jest razsolnik z flaków i młodych nerek, a jeżeli lubicie zupę, to z zup najlepsza jest jarzynowa z marchewką, szparagami, kalafiorem i inną tego rodzaju jurisprudencją.

– Doskonała rzecz – westchnął prezes, odrywając oczy od papieru, ale natychmiast się spostrzegł i jęknął: – Bój się pana Boga! W ten sposób do wieczora nie skończę!

– Nie będę, nie będę! Przepraszam! – mówił sekretarz i ciągnął dalej szeptem: – Skoro już zjadłeś barszczyk albo zupę, należy natychmiast podawać rybę. Z ryb, niewiele mówiąc, najlepszy jest karaś, smażony w śmietanie, tylko trzeba go żywego całą dobę przetrzymać w śmietanie, aby był delikatny i nie pachniał bagnem.

– Dobra jest także czeczuga (sterlet) – powiedział sędzia honorowy, zamykając oczy, lecz nagle, niespodziewanie dla wszystkich, zerwał się z miejsca i z zezwierzęconym wyrazem twarzy ryknął w stronę prezesa: – Piotrze Mikołajewiczu! Czy pan już prędko? Nie mogę dłużej czekać! Nie mogę!

– Daj mi pan skończyć!

– A więc sam pojadę. Pal was diabli!

Tłuścioch machnął ręką, porwał kapelusz i nie żegnając się, wybiegł z pokoju. Sekretarz westchnął i nachyliwszy się do uszu pomocnika prokuratora, ciągnął dalej półgłosem:

– Dobry jest także sandacz albo karp z sosem pomidorowym lub grzybowym. Ale rybą najeść się nie można, Stefanie Francewiczu, to

nie jest jedzenie zasadnicze, główna rzecz w obiedzie – to nie ryba, lecz pieczyste. Jakiego ptaka pan najwięcej lubi?

– Niestety, nie mogę panu współczuć: cierpię na katar żołądka.

– Daj pan spokój! Katar żołądka lekarze sami wymyślili! Najczęściej powstaje ta choroba z liberalizmu i z pychy. Nie zwracaj pan uwagi. Na przykład, nie chce się jeść albo mdli pana, a pan niech nie zwraca uwagi i niech pan je do woli. Jeżeli, dajmy na to, podadzą na pieczyste parę dubeltów, do tego kuropatwę lub tłuściutkie przepióreczki, to, słowo uczciwego człowieka, zapomina się o każdym katarze. A indyczka pieczona? Biała, tłusta, taka soczysta, wie pan, prawdziwie, jak nimfa...

– Tak, prawdopodobnie jest to smaczne – powiedział prokurator, uśmiechając się smutnie. – Indyczkę, może być, zjadłbym.

– Boże drogi, a kaczka? Jeżeli wziąć kaczkę młodziutką, upiec ją w brytfannie, z kartofelkami, tak, żeby kartofle były pokrajane na drobne kawałki, przyrumieniły się i przesiąkły kaczym tłuszczem i żeby...

Twarz filozofa Miłkina nabrała wyrazu zwierzęcego, chciał, widocznie, coś powiedzieć, cmoknął wargami, wyobraziwszy sobie, widocznie, pieczoną kaczkę, lecz nagle, jakby porwany przez jakąś siłę nieznaną, nic nie mówiąc, chwycił kapelusz i uciekł.

– Tak, zjadłbym może i kaczkę – westchnął pomocnik prokuratora. Prezes wstał, przeszedł się trochę i znowu usiadł.

– Po pieczystym człowiek staje się najedzony i wpada w stan słodkiego zamroczenia – kontynuował sekretarz. – I ciało czuje się wtedy dobrze i dusza odczuwa błogość. Dla większej rozkoszy można wypić ze trzy kieliszki zapiekanki.

Prezes cmoknął i zakreślił arkusz.

– Już szósty arkusz psuję – powiedział z gniewem. – To jest oburzające!

– Niech pan pisze, niechże pan pisze – szepnął sekretarz. – Ja nie będę. Ja po cichutku. Powiem szczerze, Stefanie Francewiczu, na sumienie – ciągnął dalej ledwo słyszanym szeptem – zapiekanka domowej roboty lepsza jest od szampana. Po pierwszym kieliszku opanowuje cię takie jakieś omroczenie, fantasmagoria taka i zdaje się, że siedzi się nie u siebie w fotelu, lecz gdzieś w Australii, na jakimś miękkim strusiu...

– Ależ pojedźmy już, Piotrze Mikołajewiczu! – powiedział prokurator, niecierpliwie wierzgając nogą.

– Tak – ciągnął dalej sekretarz – popijając zapiekankę, dobrze jest wypalić cygaro i puszczać kółka; wtedy przychodzą do głowy takie marzenia: że niby jesteś wodzem naczelnym, że twoja żona jest najpiękniejszą kobietą na świecie, że ta piękność cały dzień pływa pod oknem twego salonu w takim basenie ze złotymi rybkami... Ona pływa, a wtedy szepcze się do niej: – „Złotko, chodź, pocałuj mnie!"

– Piotrze Mikołajewiczu! – jęknął prokurator.

– Tak – ciągnął dalej sekretarz – skończywszy cygaro, zakasujesz poły szlafroka i – do łóżeczka. Kładziesz się tak na plecy, brzuszkiem do góry i bierzesz gazetę do ręki...

Prezes zerwał się z miejsca, cisnął pióro i obydwiema rękoma schwycił kapelusz.

Pomocnik prokuratora, zapomniawszy o swym katarze i omdlewając z niecierpliwości, również się zerwał.

– Jedziemy! – krzyknął.

– Piotrze Mikołajewiczu, a co będzie z pańskim *votum separatum*? – zląkł się sekretarz. – Kiedy je pan napisze? Przecież o szóstej musi pan jechać do miasta!

Prezes machnął ręką i rzucił się ku drzwiom. Pomocnik prokuratora też machnął ręką i porwawszy swój portfel, znikł

za przewodniczącym.

Sekretarz westchnął, spojrzał za nimi z wyrzutem i zaczął sprzątać papiery.

Aptekarzowa

Miasteczko B..., składające się z dwóch czy trzech krzywych ulic, pogrążone jest w głębokim śnie. W zastygłym powietrzu – cisza zupełna. Słychać tylko, jak gdzieś, pewnie za miastem, szczeka pies słabym, ochrypłym tenorem. Zbliża się świt.

Wszystko już śpi od dawna. Nie śpi tylko młoda żona prowizora, właściciela apteki w B... Kładła się już trzy razy – ale nie wiadomo czemu, zasnąć nie może. Siedzi przy otwartym oknie w jednej koszuli i patrzy na ulicę. Jest jej duszno i nudno. Jest zła, taka zła, że aż się płakać chce – i również nie wiadomo dlaczego. Czuje w piersi jakiś kłębek, który od czasu do czasu podchodzi jej do gardła. O kilka kroków za nią, przytuliwszy się do ściany, chrapie smacznie jej mąż. Zgłodniała, poszła, wpiła mu się w czoło, ale on nawet tego nie czuje – uśmiecha się, bo roi we śnie, że wszyscy w mieście kaszlą i stale kupują u niego krople anyżowe. Nie można by go zbudzić teraz ani ukłuciem, ani strzelaniem z armat, ani pieszczotami.

Apteka znajduje się na krańcu miasta i aptekarzowa ma rozległy widok na pole... Widzi jak powoli blednie wschodni kraniec nieba, jak potem zaczyna się rumienić, jakby od wielkiego pożaru. Niespodzianie spoza odległych krzaków wyłazi duża, szeroka twarz księżyca. Jest czerwony (w ogóle księżyc, kiedy wyłazi spoza krzaków, zawsze jest czymś zawstydzony).

Nagle, śród ciszy nocnej, rozlegają się czyjeś kroki i brzęk ostróg. Słychać głosy.

...To oficerowie wracają do obozu – myśli aptekarzowa.

Wkrótce ukazują się dwie postacie w białych oficerskich kitlach: jedna – wysoka i tłusta, druga – niższa i chudsza... Leniwie, krok za krokiem, wloką się wzdłuż parkanu i głośno rozmawiają. Zrównawszy się z apteką, obie postacie jeszcze więcej zwalniają kroku i patrzą na okna.

– Pachnie apteką... – mówi cienki. – Rzeczywiście apteka! Ach, pamiętam... Byłem tu w zeszłym tygodniu, kupiłem oleju rycynowego. Jest tu aptekarz z kwaśną miną i oślą szczęką. To ci, bracie, szczęka! Taką właśnie Samson poraził Filistynów.

– Tak... – mówi tłusty basem. – Śpi farmacja! I aptekarzowa śpi. Wiesz, Obtiosow, tu jest przystojna aptekarzowa.

– Widziałem. Bardzo mi się podobała... Powiedzcie, doktorze, czy ona jest w stanie kochać tę oślą szczękę?

– Nie, chyba nie kocha – wzdycha doktór, takim tonem, jakby żal mu było aptekarza. – Śpi sobie teraz za okienkiem. Co, Obtiosow? Leży z rozrzuconymi od gorąca ramionami... usteczka półotwarte... i nóżka zwisa z łóżka. Aptekarz, cymbał, nie zna się prawdopodobnie na tych skarbach. Dla niego, być może, kobieta czy butla z karbolem – to wszystko jedno!

– Wiecie co, doktorze? – mówi oficer, zatrzymując się. – Zajdźmy do apteki i kupmy coś. Może aptekarzową zobaczymy.

– Też pomysł – w nocy!

– A co? Wszak oni i w nocy obowiązani są sprzedawać.

– Niech będzie...

Aptekarzowa, schowana za firanką, słyszy głośny dzwonek. Obejrzawszy się na męża, który wciąż chrapie i uśmiecha się, kobieta narzuca na siebie lekkie poranne ubranie, kładzie na bose nogi pantofle i biegnie do apteki.

Za szklanymi drzwiami widać dwie postacie... Aptekarzowa wykręca lampę, śpieszy ku drzwiom i otwiera: już jej nie jest nudno

i nie jest zła, nawet i nie chce się jej już płakać; tylko mocno bije serce. Wchodzi grubas doktór i cienki Obtiosow. Teraz można im się przyjrzeć. Brzuchaty, ociężały doktór ma śniadą cerę i brodę. Przy każdym ruchu trzeszczy na nim kitel i występuje pot. Oficer zaś jest rumiany, bez wąsów, ma w sobie coś kobiecego i jest giętki, jak szpicruta angielska.

– Czego sobie panowie życzą? – zapytuje aptekarzowa, przytrzymując ubranie na piersiach.

– Proszę... e-e-e – za piętnaście kopiejek pastylek miętowych.

Aptekarzowa, nie śpiesząc się, bierze z półki słoik i zaczyna ważyć. Goście stoją nieruchomo i patrzą na jej plecy: doktór mruży oczy, jak syty kot, a porucznik jest pełen powagi.

– Pierwszy raz widzę, żeby dama sprzedawała w aptece – mówi doktór.

– Tu nie ma nic dziwnego... – odzywa się aptekarzowa, zerkając na rumianego Obtiosowa. – Mąż mój nie ma pomocników i ja mu zawsze pomagam.

– Tak... Bardzo miła apteczka! Wiele tu tych różnych słojów! I pani nie boi się kręcić wśród trucizn? Brr!

Aptekarzowa zawija pastylki i podaje je doktorowi. Obtiosow daje jej piętnaście kopiejek. Pół minuty przechodzi w milczeniu... Mężczyźni zamierzają ze sobą spojrzenia, robią krok ku drzwiom, potem znowu spoglądają na siebie.

– Proszę za dziesięć kopiejek sody – mówi doktór.

Aptekarzowa, poruszając się znowu leniwie i ospale, podnosi rękę do półki.

– Czy tu nie ma w aptece czegoś takiego... – mruczy Obtiosow, ruszając palcami – czegoś takiego... wie pani... alegorycznego, jakiegoś płynu ożywczego... chociażby wody selcerskiej? Czy macie wodę selcerską?

– Jest – odpowiada aptekarzowa.

– Brawo! Pani jest nie kobietą, lecz nimfą! Niech nam pani spreparuje ze trzy butelki!

Aptekarzowa prędko zawija sodę i znika w ciemnościach za drzwiami.

– Specjał! – mówi doktór, przymrużając jedno oko. – Takiego ananasa i na wyspie Maderze nie znajdziesz. Co? Co pan myśli? Jednak... słychać chrapanie. To sam pan aptekarz raczy odpoczywać.

Po chwili aptekarzowa wraca i stawia na ladzie pięć butelek. Dopiero co była w piwnicy i dlatego jest zarumieniona i trochę podniecona.

– Tss – ciszej! – mówi Obtiosow, kiedy przy otwieraniu butelki spadł jej korkociąg. – Niech pani tak nie stuka, bo się mąż obudzi.

– A jeśli się obudzi, to co?

– Śpi tak słodko... śni mu się pani... Za zdrowie pani!

– A przy tym – mówi doktór, któremu odbija się po wodzie selcerskiej – mężowie – to taka nudna rzecz, że dobrze by zrobili, gdyby ciągle spali. Ech, gdyby tak do tej wody trochę winka czerwonego!

– Czego się panu jeszcze zechciało! – śmieje się aptekarzowa.

– Cudownie by było! Szkoda, że w aptekach nie sprzedają spirytualiów! Zresztą... przecież musicie sprzedawać wino, jako lekarstwo. Czy macie *vinum gallicum rubrum*?

– Mamy.

– Doskonale! Niech go nam pani da!

– Jaką ilość?

– *Quantum satis*... Najpierw niech nam pani da do wody po uncji, a potem zobaczymy. Co Obtiosow? Z początku z wodą, a potem już *per se*...

Doktór i Obtiosow siadają przy ladzie, zdejmują czapki i zaczynają pić czerwone wino.

– A wino, trzeba wyznać, arcypaskudne. *Vinum marnissimum*! Zresztą, w obecności... e-e-e... wydaje się nektarem... Pani jest czarująca! Całuję w myśli rączki pani.

– Dużo bym dał za to, by móc to zrobić nie tylko w myśli – mówi Obtiosow. – Słowo honoru! oddałbym życie!

– Dajmy temu spokój... – mówi aptekarzowa, rumieniąc się i przybierając minę serio.

– Jaka jednak z pani kokietka! – śmieje się cicho doktór, patrząc na nią spode łba, z szelmowskim wyrazem twarzy. – Oczęta wciąż strzelają! Pif! Paf! Winszuję: zwyciężyła pani! Jesteśmy pokonani!

Aptekarzowa patrzy na ich rumiane twarze, słucha ich paplania i wkrótce sama się ożywia. Tak jej teraz wesoło! Rozmawia, śmieje się kokietuje i nawet po długich naleganiach wypija ze dwie uncje czerwonego wina.

– Mogliby panowie oficerowie z obozu częściej przychodzić do miasta – mówi. – Tu tak strasznie nudno! Umieram po prostu...

– Rozumie się – oburza się doktór. – Taki specjał... cud natury – i na pustkowiu. Jednak już nam czas. Bardzo nam było przyjemnie poznać panią... bardzo! Wiele jesteśmy winni?

Aptekarzowa podnosi wzrok na sufit i długo porusza wargami.

– Dwanaście rubli i czterdzieści osiem kopiejek – mówi.

Obtiosow wyjmuje z kieszeni gruby pugilares, długo grzebie w paczce pieniędzy i płaci.

– Mąż pani słodko śpi... ma sny... – mruczy, ściskając na pożegnanie rękę aptekarzowej.

– Nie lubię słuchać głupstw...

– Czyż to są głupstwa? Przeciwnie... to wcale nie głupstwa. Nawet Szekspir powiedział: „Szczęśliwy, kto w młodości był młody!”

– Niech pan puści rękę!

Nareszcie panowie po długich rozmowach całują rączkę aptekarzowej i z wahaniem, jakby zastanawiając się, czy czego nie zapomnieli, wychodzą z apteki.

Ona zaś prędko biegnie do sypialni i siada przy tym samym oknie. Widzi, że doktór i porucznik, wyszedłszy z apteki, oddalają się powoli o jakie dwadzieścia kroków, potem zatrzymują się i zaczynają coś między sobą szeptać. O czym?... Serce jej bije, czuje pulsowanie krwi w skroniach – lecz sama nie wie dlaczego... Serce bije mocno, jak gdyby ci dwaj, szepcząc między sobą, rozstrzygali o jej losie.

Po pięciu minutach doktór żegna się z Obtiosowem i idzie dalej, a Obtiosow wraca. Przechodzi, koło apteki raz, drugi... To zatrzymuje się u drzwi, to znowu idzie... Nareszcie daje się słyszeć lekki dzwonek.

– Co? Kto tam? – słyszy nagle aptekarzowa głos męża. – Tam dzwonią, a ty nie słyszysz! – mówi surowo aptekarz. – Co za nieporządki!

Wstaje, kładzie szlafrok i chwiejąc się w półśnie, kłapiąc pantoflami, idzie do apteki.

– Czego... panu? – zapytuje Obtiosowa.

– Proszę... proszę za piętnaście kopiejek miętowych pastylek...

Sapiąc, ziewając, zasypiając na stojąco i uderzając kolanami o ladę, aptekarz lezie na półkę i bierze słoik... Po przejściu dwóch minut aptekarzowa widzi, jak Obtiosow wychodzi z apteki i zrobiwszy kilka kroków, rzuca na zakurzoną drogę pastylki miętowe. Spoza węgła idzie ku niemu doktór... Spotykają się i gestykulując rękami, znikają w porannej mgle.

– Jaka jestem nieszczęśliwa! – mówi aptekarzowa, patrząc ze złością na męża, który się rozbiera, by się znowu położyć spać. –

O jakam ja nieszczęśliwa! – powtarza, zalewając się nagle gorzkimi łzami – I nikt... nikt o tym nie wie...

– Zapomniałem piętnaście kopiejek na ladzie – mruczy aptekarz, zakrywając się kołdrą. – Schowaj, proszę cię. – I zaraz zasypia.

ISBN 978-83-268-0391-8

Wydanie elektroniczne 2012

Na okładce wykorzystano fragment obrazu „Соборная площадь в Московском Кремле” Fiodora Jakowlewicza Aleksiejewa (1753–1824).

WYDAWCA
Agora SA
ul. Czerska 8/10
00-732 Warszawa

Konwersja i edycja publikacji

publio